ZŁE ZIARNO.

ZŁE ZIARNO.

KOMEDYJA W TRZECH AKTACH

przez

Kazimierza Zalewskiego.

ODBITKA Z NIWY.

WARSZAWA.

W Drukarni **Władysława Dębskiego,** ulica Senatorska, Nr. 20,
wprost Kościoła Ś-go Antoniego.

1876.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 14 Октября 1876 года.

ZYGMUNTOWI SARNECKIEMU

Poczciwemu towarzyszowi w dziennikarskiej pracy
i dzielnemu koledze w zawodzie komedyjopisarskim,
za „Dworaków Niedoli“

OFIARUJE

AUTOR.

OSOBY:

JAN BOGUSZ.

MAJOR GODZIEMBA.

HRABIA FAJTASZKO.

FEINER.

KAZIMIERZ ZBRODZKI.

HENRYK WORSZYŁŁO.

ALFRED RUCKI.

KACPER.

AMELIJA.

MARYJA.

RUDOSKA.

MŁODZIEŻ. — GOŚCIE.

(Rzecz dzieje się w Warszawie.—Między pierwszym a drugim Aktem upływa pół roku).

AKT I.

(*Scena przedstawia gabinet w mieszkaniu Bogusza.— W głębi zestawione dwa stoliki do kart, obstawione krzesłami; na stolikach — porozrucane karty. Z prawej strony na samym przodzie sceny, szezląg lub sofa, z lewej—stół i krzesła. Drzwi z prawej i w głębi*).

SCENA I.

JÓZEF — KACPER.

(*Kacper nachylony szuka na podłodze. Józef z lewej siedzi rozwalony w fotelu*).

JÓZEF.

I cóż? znalazłeś co?

KACPER.

Dwa ruble i trochę drobnych.

JÓZEF.

To nie wiele. Nie warto się było fatygować.

KACPER.

Jak dla kogo. Pan Józef, zwyczajnie — pan, ale dla mnie chudopachołka...

JÓZEF.

No—tak! Ja ci też nie ganię tej staranności. Mówisz zatem, że dwa ruble i drobne?

KACPER.

Tak jest.

JÓZEF.

No, to dajże mi te dwa ruble, a drobne pozwalam ci zabrać dla siebie.

KACPER.

Jakto! ja mam oddać?

JÓZEF.

Mój przyjacielu! zdaje mi się że zapominasz się, i ażeby cię przywołać do porządku, mam zaszczyt przypomnieć ci, że mówisz do kamerdynera jaśnie pana, i że chłopiec kredensowy może się uważać za szczęśliwego, jeśli jego bezpośredni zwierzchnik udziela mu tak znakomitą gratyfikacyją; nie licząc już, żeś mi rubla na czysto świsnął.

KACPER.

Ależ przysięgam panu...

JÓZEF.

No, no, nie przysięgaj... Ja widziałem i przebaczam ci. Dawaj dwa ruble.

KACPER.

Jeśli to jest sprawiedliwość?...

JÓZEF.

Kacprze! jeżeli powiesz jedno słowo więcej, wyrzucę cię za drzwi. Cicho! panowie nadchodzą.

KACPER

Ależ...

JÓZEF.

(*wypychając Kacpra za drzwi*).

Wynoś się pókiś cały. Człowiek zawsze ma przykrości w stosunkach z ludźmi źle wychowanemi... I gadają o równości stanów... osły!.. (*wychodzi*).

SCENA II.

BOGUSZ—MAJOR—FAJTASZKO—RUCKI—ZBRODZKI—WORSZYŁŁO FEINER—MŁODZIEŻ.

RUCKI.

No, dalej panowie! nie mamy czasu do stracenia. Już blizko szósta.

FEINER.

Namiętny jest ten Rucki. A spłuczesz się do reszty.

RUCKI.

Czym ci co winien, że ci tak chodzi o moją kasę?

FEINER.

No, to co innego; — ty wiesz że ja nie wchodzę w interesa z firmami zachwianemi.

RUCKI.

Więc mnie uważasz za firmę zachwianą?

FEINER.

Ciebie?—Gorzej kochanku! Ciebie uważam za firmę upadłą. No! ale istotnie, panowie, mamy grać dalej, to grajmy;—słońce już przyświeca przez okiennice.

FAJTASZKO.

Ja toż samo wnoszę. Ostatnia talija kwindecza; — chyba że może gospodarz nazbyt zmęczony?

BOGUSZ.

Mnie to obojętne; chcecie, to siadajmy. Godzinę wcześniej, czy godzinę później spać pójdę, to mi wszystko jedno. Służę wam panowie! (*do Zbrodzkiego*) Major wiem że nie grywa, tylko w ćwika z damami, ale ty, panie Kazimierzu, nie chcesz stanowczo się do nas zapisać?

ZBRODZKI.

Nie, dziękuję, gra nie robi mi przyjemności.

BOGUSZ.

Sprobuj naprzód, potem będziesz mówił.

ZBRODZKI.

Probowałem już i przekonałem się, że najmniejszego do kart nie mam powołania. Ziewałem przy największej stawce. (*Wszyscy siadają do kart. Major przypatruje się im. Zbrodzki przechodzi naprzód sceny z Worszyłłą*).

WORSZŁYŁO.

Mój Kazieczku kochany! nadużyłem już twojej dobroci, ale—jak mnie kochasz — pożycz mi jeszcze ostatnie sto rubli... może te mi szczęście przyniosą.

ZBRODZKI.

Zdaje mi się, że to samo mówiłeś przy przedostatnich.

WORSZYŁŁO.

Cóż chcesz — taki los fatalny! może się szczęście odwróci

a miałbym sobie wiecznie do wyrzucenia, gdybym dla nędznych stu rubli, nie miał odegrać trzech tysięcy.

ZBRODZKI.

A nie masz sobie do wyrzucenia żeś już przegrał ze czterdzieści.

WORSZYŁŁO.

Kaziu! jak cię kocham, jeżeli je odegram, więcej grać nie będę. Zlituj się, nie męcz mnie; przecież wiesz że ci oddam.

ZBRODZKI.

Niestety! wiem że oddasz... aż ci zbraknie... Masz, daję ci, bo wiem, że pożyczyłbyś od kogo innego, i jutro sprzedałbyś włókę lasu, lub meble z mieszkania dla spłacenia długu honorowego. Weź, ale daj mi słowo, że jak je przegrasz, już więcej grać dziś nie będziesz.

WORSZYŁŁO.

Dobrze—ale będziesz mnie pilnował—zostaniesz tutaj.

ZBRODZKI.

Bój się Boga! chyba się spać położę na tej sofie.

WORSZYŁŁO.

Możesz śmiało—wszak to kawalerskie zebranie. Mam twoje słowo i wracam do gry.

ZBRODZKI.

Smutny widok; — najlepszy chłopak, złote serce, charakter uczciwy, i nic go nie uratuje!

RUCKI.

(*odchodzi od gry i zbliża się do Zbrodzkiego*).

Panie Kazimierzu, czy masz ze sobą pugilares?

ZBRODZKI.

Nie zwykłem wychodzić bez pieniędzy.

RUCKI.

Patrz pan, to zupełnie przeciwnie jak ja. Wiedząc, że na grę idę, przygotowałem kilka tysięcy, i ot, przez roztargnienie, zostawiłem, pewnie w biurku... Nawet w strachu jestem o lokaja... Znaczny kapitał! Człowiek nowy.

ZBRODZKI.

Ja, na pańskiem miejscu, nie narażałbym go na taką próbę, i pośpieszyłbym co prędzej do domu...

RUCKI.

Ah! co to—bagatela! tu więcej skorzystać można. Sam Feiner ma na stole z dziesięć tysięcy. Więc proszę, panie Kazimierzu, pozwól mi paręset rubelków do jutra.

ZBRODZKI.

Panie Rucki—ile ja już mam u pana?

RUCKI.

At, coś—drobnostkę, nie pamiętam;—obliczymy się jutro razem.

ZBRODZKI.

A mnie się zdaje, że wcale nie drobnostkę, i że wypadnie coś około...

RUCKI.

Ależ nie—wcale nie około—jak cię kocham... Ze dwieście rubli najwięcej; daj jeszcze sto, będzie okrągłe trzysta, a dziś po grze, lub najdalej jutro, jak fortuna nie dopisze, odeślę.

ZBRODZKI.

Masz pan pięćdziesiąt, i uprzedzam, że to po raz ostatni.

RUCKI.

No, daj kochanku jeszcze dwadzieścia pięć, będzie siedmdziesiąt pięć okrągłe.

ZBRODZKI.

Znajduję, że pięćdziesiąt daleko okrąglejsza cyfra; wolę stracić mniej niż więcej.

RUCKI.

Ciężki jesteś; dziękuję ci i za to (*wraca do gry*).

ZBRODZKI.

Wolę już tego; przynajmniej zwyczajny szubrawiec; a jednak i on—urzędnik, nawet wysoki, z protekcyjami.

MAJOR.

(*Odchodząc od grających i zbliżając się do Zbrodzkiego*).

Cóż, panie Kazimierzu! my dwaj tylko podobno wolni od słabości; u mnie to nie dziwne, ale ty—młody!

ZBRODZKI.

Cóż chcesz, majorze, trudno przezwyciężyć naturę. Gra nudzi mnie; wygrać nie pragnę, a przegrana nie zrobiłaby mi różnicy;— naturalna rzecz, że namiętność w tych warunkach wyrodzić się nie może.

MĄJOR.

W takim razie pozwól, że spytam się, coś tu przyszedł robić.

ZBRODZKI.

Miałem wieczór nie zajęty, i przyszedłem pilnować Worszyłłę. To mój sąsiad i dobry znajomy, powiedziałbym prawie — przyjaciel; chcę go ratować o ile można. Ale ty Majorze?

MĄJOR.

Ja po nocach sypiać nie mogę, krzyż dokucza, reumatyzm. Cóż chcesz—starość nie radość! Wolę być między ludźmi, niż przewracać się z boku na bok we własnem łóżku, które się dla mnie zamienia w istne łoże madejowe; zresztą ja mam w tym domu obowiązek do spełnienia!

ZBRODZKI.

Obowiązek?

MAJOR.

Tak jest! Muszę tu czuwać nad dobytkiem i przyszłością córki i wdowy mego towarzysza broni.

ZBRODZKI.

Pozwól Majorze—nie zrozumiałem dobrze; wszak pułkownik Leśniewski nie pozostawił dzieci. Dzisiejsza pani Boguszowa była wdową bezdzietną?

MAJOR.

Bynajmniej; zostawił jej ślicznego aniołka, córkę Maryją, która wychowywała się u jego siostry w Paryżu, z wyraźnej woli nieboszczyka. Ukończywszy pensyją w tych dniach, po śmierci ciotki, wraca do kraju.

ZBRODZKI.

Nic nie wiedziałem o tem; — ależ w takim razie ów olbrzymi majątek Boguszów?...

MAJOR.

W części tylko do nich należy... Nieboszczyk świetnie uposażył

wdowę, bo zapisami i dożywociem. Połowa jednak większa jest własnością Maryi, której ja jestem ojcem chrzestnym i opiekunem;—dlatego to widzisz mnie tu tak często, panie Kazimierzu. Obowiązki swoje wypełniam sumiennie: nie dam tknąć grosza z majątku mojej sierotki, choć muszę przyznać, że matka i ojczym, nie utrudniają mi tego zadania. Jest dosyć—wystarczy na wszystkich.

BOGUSZ.

Robię sto rubli.

FAJTASZKO.

Robię trzysta.

FEINER.

To ja zrobię moję resztę.

BOGUSZ.

Trzymam wszystko.

ZBRODZKI.

Nie wiem czy wystarczy na wszystkich, jeżeli tak często wszystko trzymać będzie. Wszak jest już dziecko i z tego małżeństwa.

MAJOR.

Wystarczy—jest dosyć; choć szkoda, że to idzie na marne; a mógłby się już ustatkować. Żona piękna—a choć on młodszy....

ZBRODZKI.

Istotnie, pani Bogusz doskonale się konserwuje; niktby jej więcej nie dał nad trzydzieści lat.

MAJOR.

Nie ma też jeszcze czterdziestu; nieboszczyk zaszalał się za nią i ożenił, kiedy miała lat siedmnaście,—akurat tyle, ile powinna teraz mieć Mania! Kochane dziecko! jak mi pilno zobaczyć ją. Byle ją tylko na francuzicę, lub modną pannę, w Paryżu nie przerobili. Pamiętam, jak mi targała wąsy, siedząc na moich kolanach! Śliczne dziecko było—ojciec patrzył na nią z dumą—taki szczęśliwy!... choć wolałby mieć syna. Do kroćset! byłby go nauczył rąbać się na pałasze. Zawołany był gracz swojego czasu... nie taki jak te wyblakłe lalki przy zielonym stoliku... Ha—inne czasy, inny świat! Wiesz co, panie Kazimierzu, że patrząc na to, żałuję czasem, żem przeżył moich towarzyszy. Ta dzisiejsza młodzież strasznie coś od nas odskoczyła. Być może, żeście wy do rachunku i nauki; możeście wy

dzieci wieku; ale co do ojców i dziadów, toście dyjablo jakoś nie podobni.

ZBRODZKI.

Za ostro nas sądzisz, Majorze. Są między nami serca, jest zapał i energija; może mniej niż dawniej, bo dziś świat zimniejszy i życie cięższe, ale jeszcze nasza młodzież jest coś warta. Ot, i w tem kółku znajdziesz takiego Worszyłłę, który, gdyby nie ta fatalna namiętność...

MAJOR.

A widzisz—ot, i jedna namiętność wystarczy, aby z człowieka zrobić...

ZBRODZKI.

A czyż w waszych czasach tego samego nie było—nie znaliście namiętności?

MAJOR.

No tak—przyznaję. My mieliśmy namiętności; i w tem właśnie leży różnica, że wy tylko macie gorączki. Gorączka mija i zostaje wycieńczenie, chłód i niechęć do życia. Nie umiecie być młodemi. Ot i ty, panie Kazimierzu, ty, któregobym może za wzór innym postawił, czyż nie jesteś po trosze takim samym? Masz rozum, wykształcenie, majątek, młodość, urodę—a jednak...

ZBRODZKI.

A jednak—cóż, Majorze?

MAJOR.

Kiedy już chcesz, to powiem ci verba veritatis. Grzeszysz zimnem. Nie słyszałem nigdy o tobie, abyś jakieś głupstwo zrobił; a teraz marnujesz czas i zdrowie. Czemu się nie żenisz?

ZBRODZKI.

Bo nie chcę zrobić pierwszego głupstwa w mojem życiu.

MAJOR.

Tu cię czekałem. No—zacznij jeszcze zwyczajem dzisiejszej młodzieży perorować na kobiety, jakby one nie były tem czem wy je właśnie robicie.

ZBRODZKI.

Wstrzymaj się majorze, boś źle trafił. Ja nic nie mam przeciw kobietom wogólności; a jeśli małżeństwo dla siebie uważałbym

za głupstwo, to poprostu dlatego, że rozumiem je tylko z miłości, a do dziś dnia nie kocham. Ot—i cała zagadka.

MAJOR.

Zręcznie się wywijasz, kochanku, jak piskorz! Bój się Boga, toż to dzień biały. Zagadałem się z tobą... a mnie przecież czas do domu; może już teraz zasnę. Bądź zdrów! *(odchodzi—do grających)* Z szulerami się nie żegnam.

SCENA III.

(Ciż — bez Majora).

ZBRODZKI.

A ja?—Wszak i na mnie czas już wielki. Henryku, prędko skończysz?

WORSZYŁŁO.

Kwadransik najwyżej jeszcze. Doskonale mi idzie; czekajże mnie—wszak dałeś słowo.

ZBRODZKI.

Znam ja ten kwadransik. Dałem słowo — nie ma co robić; — sen mnie ogarnia. Ha! sprobujmy się położyć. Zdrzemnę się przez chwilkę—to będzie moja wygrana! (*kładzie się na sofie*). Major ma racyją! głupie życie!... I gdybym tak spotkał młode, niewinne, kochające serce!... Spotkam niezawodnie—ale we śnie. Spijmy (*powoli usypia*).

FEINER.

No panowie! przyznaję się wam, że już mam dosyć tego. O jedenastej muszę być w kantorze, a teraz po siódmej. Darujcie, ale składam broń...

RUCKI.

Wstydź się! Chcesz uciekać wygrany... nie dasz się odegrać.

FEINER.

Naprzód, ty wygrałeś, więc nie masz prawa skarżyć się... a powtóre, nie sądzę, aby ktokolwiek grał w grubą grę po nocy, dla przegranej. Zatem panowie, dobrze mi tu było, ale lepiej mi będzie w łóżku.

FAJTASZKO.

Bój się Boga! zgrałem się jak szewc—daj się odegrać. Jeszcze jednę taliją.

FEINER.

Żebyś się zgrał jak dwu szewców, i wyszedł bez butów — dziękuję. Worszyłło się trochę odegrał, gospodarz nie przegrany, zatem idę, i wam radzę zrobić toż samo. *(wychodząc:)* Dla wiadomości wszystkich dodaję, żem wygrał 3221 rubli, po zamknięciu dzisiejszego bilansu! Bądźcie zdrowi.

FAJTASZKO.

A to nędzny żyd, jaki szczęśliwy—żebym go też raz przyłapał!

WORSZYŁŁO.

Daj pokój Feinerowi—i gracz przyjemny i człowiek porządny. A propos, panowie, jaki rezultat?

FAJTASZKO.

Ja przegrywam pięć tysięcy.

BOGUSZ.

Ja coś około dwustu rubli.

WORSZYŁŁO.

Ja, dzięki Bogu, dziś wyszedłem na zero. Ty Henryku?

1-szy Z MŁODZIEŻY.

Przegrałęm tysiąc.

WORSZYŁŁO.

Karol?

2-gi Z MŁODZIEŻY.

Półtrzecia tysiąca.

WORSZYŁŁO.

Pan Rucki.

RUCKI.

Ja przegrałem ogromnie—tysięcy ze trzy.

BOGUSZ *(który notował kredą na stole).*

Brawo! przegranych jedenaście tysięcy przeszło, a wygranych 3221, jak powiedział Feiner. Zatem ośm tysięcy znikło ze stołu.

WORSZYŁŁO.

Zwyczajna rzecz! Ile razy gram w karty, przegrana zawsze się znajdzie podwójna—wygranych nigdy nie ma. Ale gdzież to

Kazio? Ha! widać poszedł bezemnie. No panowie, do widzenia (*wychodzi*).

FAJTASZKO.

Żeby wszyscy dyjabli wzięli taki pech! mam siódemkę—dociągam siódemkę; ten robi resztę i ma 15 za ręką. To już ohydne nieszczęście, żeby się tak spłukać. Niech mnie piorun trzaśnie, niech spuchnę jak bąk, jeśli jeszcze do kart siądę, przynajmniej z tym niegodnym Feinerem.

1-szy Z MŁODZIEŻY.

Panowie, ja was proszę wszystkich do siebie na Czwartek.

FAJTASZKO.

A Feiner już wyszedł—nie będzie wiedział i nie przyjdzie.

1-szy Z MŁODZIEŻY

Bądź spokojny—dam mu znać. No, a teraz do widzenia (*żegnają się*).

FAJTASZKO.

Także koncept! Noc straciłem, pieniądze przegrałem; prawdziwie—żyję jak osioł (*wychodzą*).

SCENA IV.

RUCKI—BOGUSZ—ZBRODZKI (*śpi na sofie*):

RUCKI (*za Fajtaszkiem*).

Ten sobie przynajmniej oddaje sprawiedliwość. No, nie traćmy czasu, można tu jeszcze coś zarobić. Jasieczku kochanie, zgrałem się do nitki, wstyd mi iść do domu bez grosza; czybyś nie był łaskaw pozwolić mi sto rubli do Czwartku?

BOGUSZ.

Masz, służę ci.

RUCKI.

Dziękuję (*n. s.*). Niezły wieczór, pięćset rubli w kieszeni zostało;—daj Boże takich więcej! Bądź zdrów Jasieczku, do widzenia—do Czwartku (*wychodzi*).

BOGUSZ.

I cóż mi z tego życia. Noc w noc to samo; nie zyskuję nawet rozrywki, a tracę zdrowie i pieniądze. A moja żona... Ha! co tam: głupstwo—zyskałem przynajmniej znużenie... powieki ciężą mi oło-

wiem; wiem że spać będę do południa, a to podobno rzecz główna dla takich, co jak ja, nic więcej w życiu do czynienia nie mają (*wychodzi*).

SCENA V.

ZBRODZKI (*śpi*)—MARYJA—JÓZEF.

MARYJA (*za sceną*):

Ależ nie—proszę nie budzić nikogo. Moje rzeczy niech zniosą tam, gdzieście dla mnie przygotowali pokój, a ja poczekam tutaj.

JÓZEF.

Jaśnie państwo późno wstają, i może jaśnie panienka zechce do tego czasu spocząć (*wchodzą na scenę*).

MARYJA.

Dziękuję—ja wypoczęłam doskonale; spałam w wagonie, a chcę mamę przywitać prosto z łóżka. Podobnoście późno spać poszli, więc proszę się mną nie zajmować, a tylko dać mi zaraz znać, jak się mama obudzi.

JÓZEF.

Spełnię wolę jaśnie panienki (*wychodzi*).

MARYJA.

Doskonale! nareszcie jestem w naszym własnym domu—u nas—w Warszawie. Co to za roskosz!—Zobaczę mamę, drugiego ojca, braciszka... Zabawne!—ja ich obudwu nie znam (*spogląda w zwierciadło*).—Ah Boże! jakże ja wyglądam... Trzeba się przeczesać co prędzej; włosy potargane—prawdziwe czupiradło zemnie; przelękłaby się mnie mama—i ten ojciec, który mnie jeszcze nie zna. Na szczęście, mam przy sobie neseser podróżny; jest grzebień, szpilki; ślicznie—za chwilę będzie wszystko w porządku.

ZBRODZKI.

(*budzi się, przeciera oczy, później siada i rozgląda się*).

A toż co, już dzień biały... musiałem spać trochę za długo... Już się rozeszli (*spostrzega Maryją*). Czy ja śpię jeszcze i we śnie widzę to śliczne dziecko!

MARYJA.

No tak—już skończone; teraz będę mogła się pokazać (*spostrzega Zbrodzkiego*). Cóż to? jakiś pan i ja czesałam się przy nim! Coby to

matka Dorothée powiedziała!.. Przepraszam pana—ja nie wiedziałam że tu ktoś jest (*n. s.*) Doprawdy, tu by i Adolfina głowę straciła—ona, która przecież była najśmielsza z całej pensyi.

ZBRODZKI.

To ja powinienem przeprosić panią, że najdziwaczniejszym wypadkiem znalazłem się tu w tej chwili.

MARYJA.

Istotnie, ja nie wiem, jakim się to sposobem stało, że ja pana nie spostrzegłam; pan musiał widać stać przy oknie, lub wszedł w tej chwili.

ZBRODZKI.

Nie pani! najprozaiczniejszym sposobem—spałem na tej sofie.

MARYJA.

Pan spał... tutaj...

ZBRODZKI.

To jest — zdrzemnąłem się trochę, i przespałem do rana. Ale daruje pani, że ja znowu zdziwić się muszę nad tem, co panią tutaj sprowadza o tak rannej godzinie.

MARYJA.

Ja przyjechałam w tej chwili z moją poczciwą Rudosią, sznelcugiem, prosto z pensyi.

ZBRODZKI.

Jakto – z pensyi! Byłażbyś pani...

MARYJA (*dygając*).

Maryja Leśniewska.

ZBRODZKI.

Ależ w takim razie ja pierwszy witam panią w domu rodziców. Mama nic nie wie o pani przyjeździe?

MARYJA.

I owszem—tylko spodziewają się mnie dopiero za kilka dni; ale mnie tak spieszno było do domu, do swoich!—Czy pan dawno widział mamę?

ZBRODZKI.

Dzisiaj—to jest, chciałem powiedzieć, wczoraj wieczorem.

MARYJĄ.

Zdrowa, i zawsze piękna? nie zmieniła się?—Rudosia powiada że ja jestem zupełnie do mamy podobna.

ZBRODZKI (*n. s.*)

Naiwne dziecko!

MARYJA.

Pan często u nas bywa?

ZBRODZKI.

Dosyć często.

MARYJA.

To dobrze.

ZBRODZKI.

Czy pani z tego zadowolona?

MARYJA.

Że powiedziałam dobrze... to—tak sobie; ja często nie uważam na to co mówię; nawet łajano mnie za to na pensyi—matka Dorothée była nadzwyczajnie surową. Ale, przypomniało mi się—czy to wczoraj bal był u nas, że pan tak późno tu pozostał?

ZBRODZKI.

Nie — czysto męzkie zebranie u pana Bogusza.

MARYJA.

Mego drugiego ojca. A to szkoda, że nie było balu; — ja tak lubiłabym tańczyć, ale—z mężczyznami. Na pensyi tańczyłyśmy między sobą—to nudne! Ja nigdy nie byłam na balu, ale Adolfina mówiła mi, że to coś cudownego. Pan zna Adolfinę? Ach! jakże ja naiwna—ona w Paryżu u rodziców, a pan... Przepraszam, jak się pan nązywa?

ZBRODZKI.

Ach mój Boże! daruj mi pani ten błąd—dotąd nie zaprezentowałem się jej; ale istotnie jesteś pani tak wyjątkowem zjawiskiem, w konwencyjonalnem życiu salonu, żem o tem, bądź co bądź koniecznem i elementarnem jego wymaganiu, zapomniał. Jestem Kazimierz Zbrodzki.

MARYJA.

Zbrodzki! coś mi mama kiedyś pisała. Mój Boże—jak też długo śpią; już późno—zdaje mi się że jestem tu z dziesięć godzin. Ach!

przepraszam—może to niegrzecznie co ja mówię, ale tak mi pilno uściskać mamę, braciszka. Ale dlaczego pan powiedział, że ja jestem niezwykłem zjawiskiem w salonie? Czy pan myśli że ja się nie umiem znaleść w towarzystwie?

ZBRODZKI.

Cóż znowu—nie wątpię. (*n. s.*) Cudowna!

MARYJA.

Tylko mam jedną wadę—jestem strasznie żywa; na miejscu usiedzieć nie mogę. Ach! jak ten czas się wlecze!

ZBRODZKI.

Może ja zawadzam pani, i...

MARYJA.

Ależ nie—lepiej czekać we dwoje niż samej. Wolę przecie mówić do pana, jak do samej siebie, lub jak do ściany.

ZBRODZKI (*n. s.*)

To już zawsze coś.

MARYJA.

Daruj mi pan—ja nie umiem jeszcze mówić jak wypada, ale ja się nauczę.

ZBRODZKI.

O, nie ucz się pani—zostań jak najdłużej taką, jaką jesteś!

MARYJA.

Trzpiotem...

ZBRODZKI.

Nie pani—ale naiwnem, pełnem uroku natury dzieckiem.

MARYJA.

Przepraszam pana—bardzo się pan pomylił; już od dwu miesięcy jestem dorosłą panną—skończyłam lat szesnaście; a jak kto skończył lat szesnaście, tego dzieckiem nazywać nie wypada.

ZBRODZKI (*n. s.*)

Gniewa się. (*głośno*) Ależ pani, ja nie chciałem obrazić pani, i większą część towarzyszek jej wzięłaby to za komplement.

MARYJA.

Dziękuję—tak jak pan powiedział, to wyglądało na prawdę.

ZBRODZKI.

Bo też było to prawdą, prawdą najistotniejszą, płynącą wprost z serca.

MARYJA.

Oho! z serca, serca... Pan żonaty czy kawaler?

ZBRODZKI.

Dotąd bezżenny.

MARJA.

I ja tak długo sam na sam rozmawiam z kawalerem!—coby to na to powiedziała matka Dorothée!

ZBRODZKI.

Zapewniam panią, że w tem położeniu i matka Dorothée...

MARYJA.

Nie, nie, to bardzo niedobrze. Ah! ta mama, żeby spać tak długo;—wyściskam ją za to podwójnie. Rozpowiedz mi pan co dla zabicia czasu.

ZBRODZKI.

Dobrze—opowiem pani historyją prawdziwą. (*podczas kiedy mówi. Maryja kilka razy podchodzi do drzwi i słucha z roztargnieniem*) Był człowiek tak szalony, że przestał wierzyć w najcudowniejsze dzieło rąk boskich—w kobietę. Zdawało się temu szaleńcowi, że nigdzie już nie spotka tego ideału naiwności, wdzięku niewinnego, uroku młodości, zapału i poezyi; że on egzystował kiedyś, dawno, a dziś pozostał tylko w głowach egzaltowanych marzycieli, — w rzeczywistości ginąc bezpowrotnie. Wtem, jakaś siła tajemnicza, może wróżka błogosławiona...

MARYJA.

Cicho! tak, nie mylę się; — słyszę szelest w drugim pokoju. Moja matka!

SCENA VI.

Ciż — AMELIJA.

AMELIJA.

Dziecko moje drogie! Maryniu jedyna! więc to ty—powróciłaś, nie uprzedzając nikogo.

MARYJA.

Chciałam ci zrobić niespodziankę mateczko! wszak nie gniewasz się na mnie za to?

AMELIJA.

Czyż mogłabym się gniewać na ciebie?—tak dawno już cię nie widziałam!

MARYJA.

Półtora roku temu po raz ostatni. Byłam wtedy jeszcze małą dziewczynką.

AMELIJA.

A dziś doprawdy wyrosłaś na dorosłą, i dorodną pannę.

MARYJA.

(*obracając się do Zbrodzkiego*). A widzi pan! czyż nie mówiłam, że jestem już dorosłą panną.

AMELIJA.

I pan, panie Kazimierzu, przyszedłeś podzielić radość naszę;—jak to pięknie z pańskiej strony!

ZBRODZKI.

Nie, szanowna pani;—ja się tu znalazłem przypadkiem, a to właśnie nie pięknie z mojej strony, że tak nie w porę. To też, aby ten błąd naprawić, pożegnam panie, w nadziei, że mi będzie wolno kiedyindziej zupełnie usprawiedliwić się z winy.

AMELIJA.

Istotnie, zanudziłyby pana może wzajemne zwierzenia matki i córki. Liczymy za to na pana w krótkim czasie.

ZBRODZKI.

Niezawodnie pospieszę naprawić wypadkową niedyskrecyją, (*do Maryji*) i złą opinię u pani.

MARYJA.

Ja nie mam o panu złej opinii.

ZBRODZKI.

A więc jaką?

MARYJA.

Alboż ja wiem—prawdopodobnie żadnej. Zakrótko pana widziałam.

ZBRODZKI.

Cieszę się, że choć takie pozostawiam przekonanie (*kłania się i wychodzi*).

SCENA VII.

MARYJA—AMELIJA.

MARYJA.

Jakiś grzeczny młody człowiek. A może to źle mateczko, żem ja z nim rozmawiała?

AMELIJA.

Nie, dziecko drogie! to jego wina że się tu znalazł nie w porę, i dałam mu to uczuć. Zresztą człowiek bardzo przyjemny i przyzwoity. Ale mówmy o tobie, moja droga. Kiedy wyjechałaś z Paryża? jak ci się Rudosia sprawiała? czy byłaś przy śmierci ciotki? Jak umierała, czy zawsze miała żal do mnie?

MARYJA.

Zaraz mateczko—opowiem wszystko po kolei. Trzy tygodnie temu, zawołała mnie matka Dorothée do przełożonej. Kiedym przyszła do jej celi, matka przełożona trzymała jakiś list w ręku. „Moje dziecko, oto list od twojej ciotki, która cię wzywa do siebie;—jest bardzo słaba, i prawdopodobnie będziesz musiała dłuższy czas tam pozostać. Zabierz zatem ze sobą rzeczy potrzebne na kilkotygodniowy użytek. A widząc że płaczę, dodała: „uspokój się mała, nie jest tak źle, i przy pomoczy Bożej może ciotka wyjść z tej choroby. Będziemy się modlili za nią“. Uściskała mnie, pobłogosławiła poczciwa przełożona, i za godzinę byłam już na rue du Bac, z Rudosią, która po mnie przyjechała. Wistocie, matka przełożona tylko chcąc mnie uspokoić, mówiła że ciocia nie jest źle. Biedna! już od kilku dni była na schyłku życia, i oddychała resztkami płuc. Były to bardzo smutne chwile. Trzy dni i trzy długie noce przesiedziałam przy niej. Ostatniego dnia kazała mi wezwać księdza, poczciwego staruszka polaka od Ś-go Eustachego. Poszła po niego Rudoska, a gdyśmy zostały same, powiedziała do mnie: Żałuję że tu nie ma twojej matki; chciałabym jej przebaczyć, i o przebaczenie prosić. Dziś, kiedy życie ucieka, kiedy na wpół stoję już przed Bogiem, inaczej się patrzę na świat i ludzi. Czemże są błędy i ułomości

innych, w porównaniu do moich. Oby mi je Przedwieczny tak przebaczył, jak ja innym przebaczam. Pamiętaj! powiedz to twojej matce.

AMELIJA.

Biedna Ludwika!

MARYJA.

Później, kiedy ksiądz przyszedł, zostawiłam ich samych. Modliłyśmy się w drugim pokoju z Rudosią; — po skończonej spowiedzi, zaczęło się konanie;—umarła na moim ręku, mówiąc jeszcze w ostatniej chwili: przebaczam w imieniu brata i mojem; proś jej, niech mi przebaczy, i niech ciebie kocha za nas troje. Oddała mi jakieś papiery opieczętowane; — był to testament, jak się później pokazało. Przeznaczyła cały swój majątek dla mnie, ale są tam znaczne zapisy dla Władzia, i dla ciebie mamo.

AMELIJA.

Zacne serce!

MARYJA.

O tak! poczciwa ciotka! Zrozumieć tylko nie mogę, dlaczego gniewała się na ciebie mateczko, żeś drugi raz za mąż poszła. Młoda i piękna, czyż miałaś pleśnieć sama przez poświęcenie dla mnie.

AMELIJA.

Może że i taki był mój obowiązek.

MARYJA.

O nie, mateczko! zresztą ja dziś jestem dorosłą, i tak cię zwalniam z niego, jakbym cię była zwolniła przed sześcioma laty.

AMELIJA.

Drogie dziecię! Ale mówże mi dalej.

MARYJA.

A cóż! po śmierci cioci, Rudosia okazała się niestrudzoną;— zajęła się pogrzebem, prawnikami, żałobą, wszystkiem... wszystkiem... ja tylko płakałam. Później wróciłyśmy razem do klasztoru, a gdy nadszedł list od mateczki ażebym przyjechała, pożegnałam matkę przełożoną, poczciwe zakonnice, matkę Dorothée, popłakałam się z koleżankami, szczególniej z Adolfiną, wsiadłyśmy na pociąg—no, i oto jestem.

AMELIJA.

O trzy dni wcześniej niż myślałem. Sprawiłaś mi wielką radość; będziesz pociechą w smutnem mojem życiu

MARYJA.

Istotnie mateczko, tyś mi jakaś smutna, zmieniona, — a choć zawsze piękna, zmizerniałaś nawet.

AMELIJA.

Wiem o tem.

MARYJA

Co ci jest mamo?

AMELIJA.

Nic—jestem cokolwiek słabą, ale przy tobie to przeminie. Już przeszło rok cię nie widziałam; w tym roku nie mogłam wyjeżdzać.

MARYJA.

Ale teraz nie rozłączymy się nigdy; prawda mateczko?

AMELIJA.

O tak! nigdy! chybaby kto inny nasz rozdział postanowił.

MARYJA.

Kto taki?

AMELIJA.

Twój przyszły mąż.

MARYJA.

O! to ja wolę wcale nie iść za mąż.

AMELIJA.

Dziecko!

MARYJA.

Mateczko, a gdzież braciszek, ojciec; — wszak ja ich obudwu nie znam jeszcze.

AMELIJA.

Prawda—mąż mój nie miał nigdy czasu odwiedzić cię; w Paryżu był krótko, w przelocie, a ciotka poznać go nie chciała. Zobaczysz go wkrótce; śpi jeszcze. Ale Władzio musiał już wstać (*woła do bocznego pokoju*) Władziu! Władziu!

RUDOSKA. (*za sceną*)

Idziemy zaraz, proszę pani.

AMELIJA.

Widzisz, poczciwa Rudosia już się do niego dostała.

SCENA VIII.

Ciż—RUDOSKA—WŁADZIO—*potem* BOGUSZ.

AMELIJA.

(*do wchodzącej Rudoskiej*) Jak się masz Rudosiu? no cóż—nie sfrancuziałaś mi tam? Jakże ci się sprawowała panienka?

RUDOSKA.

O, proszę pani, to anioł.

MARYJA.

Tylko mnie za bardzo nie chwal, Rudosiu. Chodź tu Władeczku, niech cię uściskam jeszcze. Jaki to ładny maleńki!

WŁADZIO.

Kto ty jesteś?—ja ciebie nie znam.

MARYJA.

Ja jestem Mania—twoja siostra, rozumiesz. Musisz mnie kochać; będziemy się bawić razem.

WŁADZIO.

A umiesz grać w koniki?

MARYJA.

Doskonale! założysz mi lejce, i będziesz poganiał bacikiem—ot tak!

WŁADZIO.

Jak się zemną będziesz bawić często, to cię będę kochał.

MARJA

A szkaradny malcze! bez tego byś mnie nie kochał; i tak musisz. Masz—przywiozłam ci paryzkich cukierków.

WŁADZIO.

A w pałasze umiesz się bić, tak jak pan Major?

MARYJA.

Ach! mateczko, jaka zemnie niewdzięcznica! Wszak ja dotąd nie spytałam się o Majora. Co porabia mój kochany ojciec chrzestny?

AMELIJA.

Był tu wczoraj—codziennie dopytuje się o ciebie; pewno zaraz się zjawi.

MARJA.

Dopiero będzie szczęśliwy—i ja także! Drogi, poczciwy pan Major. (*spostrzega Bogusza, który wchodzi na ostatnie słowa*) Ach! jakiś pan!

WŁADZIO.

(*biegnie na przeciw Bogusza*) Tatusiu—przyjechała siostrzyczka; patrz jaka ładna! przywiozła mi cukierków.

MARYJA.

To ojciec!

AMELIJA.

Mężu—nasza córka Maryja.

BOGUSZ.

Pani!.. Maryjo... moja córko... (*do siebie*) Córka!... to dziwne!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Buduar łączący się z salą balową w mieszkaniu Boguszów. Drzwi z prawej i z lewej; w głębi sala przedzielona rzadką kolumnadą, wspaniale ubrana i oświecona).

SCENA I.

MARYJA — MAJOR.

MAJOR.

Mówimy więc?

MARYJA.

Nie—wcale nie mówimy; gniewam się na pana Majora.

MAJOR.

A—jak się panna Maryja na mnie gniewa, to zabieram czapkę, kij...

MARYJA.

No, no, proszę mi to położyć zaraz.

MAJOR.

Kiedy się gniewa panna Maryja...

MARYJA.

Panna Maryja może się sobie gniewać, ale Mania przeprasza dziadunia, i obiecuje być grzeczną.

MAJOR.

Ale kiedy...

MARYJA.

Nie ma ale, nie ma żadnego kiedy; proszę siadać, i rozmawiajmy.

MAJOR.

Oj ty, ty rozpieszczone dziecko! więc powiadasz, że ci w domu dobrze.

MARYJA.

Jak w raju; i gdyby nie ten ciągły smutek mamy, byłabym najszczęśliwszą pod słońcem.

MAJOR.

Więc pan Bogusz jest dla ciebie dobrym ojcem?

MARYJA.

Jak najlepszym! Zdaje mi się, że z natury musi być cokolwiek zimnym, bo nawet nie woła na mnie po imieniu, tylko panno Maryjo a wita mnie i żegna zawsze głębokim ukłonem. Ale zresztą grzeczny, uprzedzający nawet, i psuje mnie prawie, dogadzając wszystkim moim fantazyjom. Dostarcza mi kwiatów, stara się dla mnie o rozrywki;—jak tylko mama zdrowa, chodzimy do teatru, za którym wiesz, że przepadam, dziaduniu;—wreszcie—un papa modèle. No, czy już wszystko? czy powie mi nareszcie dziadzio to, o co prosiłam?

MAJOR.

Może powiem, a może nie. Jeczcze się wielu rzeczy od ciebie dowiedzieć muszę!

MARYJA.

No, więc dobrze; niechże się pan Major już hurtem wypyta, i nareszcie mnie pozwoli dowiedzieć się trochę.

MAJOR.

Znowu pan Major; dobrze — odchodzę.

MARYJA.

Dziaduniu! jak cię kocham, tetryczejesz na starość.

MAJOR.

Nie, moja panno, to ty raczej nad wiek wyskoczyłaś. Więc już nam nudno z matką, z bratem, Rudosią i tym poczciwym majorem;—już marzymy w panieńskim pokoiku o czarnych wąsikach, i ognistych oczach? A, do stu kartaczy, ślicznie się panna popisuje;—i to tak jeszcze sama się narzucając, ani myśląc o tem, czy o tobie pomyślą.

MARYJA.

Ah dziaduniu!

MAJOR.

No, no, dziecko!.. A jakie to czułe: na płacz jej się zbiera. No dziecko! przecież wiesz, że to żarty;—daruj staremu! Ty wiesz, że ja cię kocham, a jeśli żartuję, to muszę być pewny swego. Zresztą, czyż mógłby kto ciebie nie kochać—takiego aniołka!

MARYJA.

Więc on mnie kocha dziaduniu? Jesteś tego pewny—mówił ci?

MAJOR.

Aha! ot i burza minęła. Czy mi mówił, czy nie, o to mniejsza; dość że jestem pewny swego. Dobrzeby wyszedł, gdyby się ośmielił nie kochać ciebie; zastrzeliłbym go na miejscu!

MARYJA.

Dziękuję! Ja przymuszonej miłości nie chcę.

MAJOR.

Ależ nie bój się; pokochają cię, pokochają—dla ciebie samej!

MARYJA.

Ale kiedy dziuduniowi nic jeszcze nie mówił; zresztą, on tu bywa tak rzadko; podobno nawet daleko rzadziej niż przed moim przyjazdem.

MAJOR.

Cóż ty myślisz—że on jest żak taki, że będzie wzdychał pod oknami, lub na gitarze przygrywał?

MARYJA.

Tego nie mówię; ale mógłby przecie choć słówko powiedzieć mnie, albo mamie.

MAJOR.

Mamie jeszcze za wcześnie, a tobie... możeś mu sposobności nie dała.

MARYJA.

Oh! za kogóż mnie dziadzio bierze. Sto razy dawałem mu do zrozumienia...

MAJOR.

A, szkaradna dziewczyno! i ty się przyznajesz do takiej kokieteryi. No, ale ja tu gadu gadu, a czas ucieka. Muszę się trochę przebrać ochędożniej, boć to dzisiaj przecie wielkie zebranie u was.

MARYJA.

Ach! i ja także. Rudosia się pewno niecierpliwi. Czy on lubi kwiaty, dziaduniu?

MAJOR.

Takie jak ty—z pewnością.

MARYJA.

Wepnę różę we włosy. Do widzenia.

MAJOR.

Do widzenia, oj ty, ty zalotnicka! (*Maryja wybiega*). Nie ma co—zajechał jej chłopak do serduszka; a niby taki z cicha pęk! Trzeba rzecz zbadać, póki czas! At, mam jeszcze z pół godziny, pójdę do niego i byłby dyablo zręczny, żeby mi się nie wyspowiadał. Ale zresztą, na próżno sobie głowę suszę; —chyba byłby ślepy, żeby jej nie kochał. Tak, tak, stary towarzyszu! wydam twoję córkę za mąż za uczciwego człowieka, a później śmiało pójdę zdać rachunek przed tobą z powierzonej opieki (*wychodzi*).

SCENA II.

FAJTASZKO.

(*wchodzi, i rozgląda się na wszystkie strony*).

Przyszedłem pierwszy;—to nic nie szkodzi; przeciwnie—to dobry znak. Naprzód zobaczmy, jak ja wyglądam (*idzie do lustra i przegląda się*). No, już chybaby też za półgrosza gustu nie miała, gdybym jej się nie podobał. Niech sobie gadają co chcą, a jednak w naszej twarzy jest zawsze coś, coś... czego nigdy gmin mieć nie może—dystynkcyja wrodzona. Mogę nie być piękny, ale jestem dystyngowany; znać we mnie rasę vollblut—rzecz skończona. Musiałaby być bardzo głupia ta mała, żebym jej nie zaimponował. Zresztą, korona hrabioska ma swój urok: n'est pas comte qui veut,—a prawo napisania na bilecie: Comtesse Fajtaszko, spodziewam się, że jest coś warte. Ogromny bo i czas już korzystnie umieścić ten kapitał;—w ostatnich czasach licho zaczął procentować. Dziwna rzecz, jak świat zaczyna być zblazowany na punkcie tytułów, tak ich się jakoś namnożyło. Choć u nas, to głównie Galicyja robi konkurencyją;—tak wyrastają, jak grzyby po deszczu. To też postanowiłem spieniężyć prędko tytuł, tem

więcej, że mi już niewiele innych rzeczy do spieniężenia pozostało. Pech w grze mnie prześladuje, a izraelskie pokolenie coraz trudniejsze się robi w pożyczkach. Ten niegodny Machabeusz, nie dość, że mnie z pieniędzy obrał w karty, jeszcze pożyczyć nie chce.—Tak, tak, zawrócę jej głowę, i ożenię się. To niedługo potrwa — jak na lep, tak lgnie do mnie. Trzy dni temu rozpowiadałem jej historyją moich powodzeń paryzkich; śmiała się do rozpuku, i przyznała sama, że dawno się tak nie bawiła. Skorzystam dzisiaj z pierwszej sposobności, byle się tylko nadarzyła.

SCENA III.

FAJTASZKO—FEINER—*później* RUCKI—WORSZYŁŁO.

FEINER.

Jak się masz hrabio! Co to, jesteśmy najpierwsi.

FAJTASZKO.

Jak widzisz. *(n. s.)* Ten żyd zawsze się znajdzie, gdzie go nie posieją. *(głośno)* Ja zawcześniłem się wypadkiem; — nie spotrzegłem, że dopiero dziesiąta.

FEINER.

Ja, bo z zasady przychodzę wcześniej; — nie lubię późnego rozpoczynania wieczoru.

FAJTASZKO *(n. s.)*

Przysiągłbym, że ma jakiś w tem interes.

FEINER.

Czy zdyskontowałeś swój weksel?

FAJTASZKO.

Rozumie się—znalazłem grzeczniejszego od ciebie bankiera.

FEINER.

To nie była niegrzeczność z mojej strony; chętnie byłbym ci wygodził, ale potrzebuję teraz kapitału.

(Worszyłło z Ruckim weszli na ostatnie słowa).

RUCKI.

To zupełnie tak jak ja *(witają się).*

FEINER.

No, u ciebie co innego—to choroba chroniczna.

FAJTASZKO (*n. s.*)

I ci tutaj! Przepadł mój pierwszy efekt; nigdy mi się nie wiedzie. (*głośno*) Moi panowie—wytłómaczcie mi, jakim to sposobem się dzieje, że wy, którzy zwykle na wszelkie bale i rauty przychodzicie ostatni, dziś tutaj jesteście najpierwsi?

RUCKI.

Tłómaczenie powinienbyś zacząć od siębie.

FAJTASZKO.

Ja zmyliłem się co do godziny.

FEINER.

Ja znajduję, że moda spóźniania się na wieczory jest głupią—zmieniam ją.

FAJTASZKO (*n. s*).

Także mi człowiek do zmieniania mody—niech mu się kto przypatrzy!

RUCKI.

Ja jestem tu prawie domowym; przyszedłem tu pierwszy, bo mnie Bogusz prosił na wice-gospodarzą.

FAJTASZKO (*n. s*).

Łże, jak z nut (*głośno*). A ty Worszyłło.

WORSZYŁŁO.

Ja? i na cóż miałbym to ukrywać; — przyszedłem wcześniej, bo mnie tu serce ciągnęło.

RUCKI.

Brawo! bohater romansowy!

FEINER.

I do kogóż, jeśli wiedzieć wolno?

WORSZYŁŁO.

Zdaje się, że mylić się w tej mierze niepodobna: — zresztą, nie ukrywam moich gustów i przekonań, a byłbym szczęśliwy, gdyby je poznał świat cały.

RUCKI.

A—rycerz średniowieczny! głośno i jawnie przywdziewa barwy swej bogdanki.

WORSZYŁŁO.

Bogdanką nie jest—a głośno i otwarcie wypowiadam uczucie, które mi tylko zaszczyt przynosić może.

FEINER.

Mówisz, jak uczciwy człowiek, panie Worszyłło, i pozwól, żebym uścisnął twoję rękę, jakkolwiek jestem twoim rywalem.

RUCKI I FAJTASZKO.

Jakto! i ty?

FEINER.

Tak jak i wy moi panowie. Na cóż mamy zwodzić się wzajemnie—to nie kwindecz; a choćby i tak było, to reszty już zaangażowane, można zatem odkryć karty.

FAJTASZKO.

Ja utrzymuję...

FEINER.

Przerywam ci, bo wiem z góry że powiesz głupstwo.

RUCKI

Ja zapęwniam, daję słowo..

FEINER.

Skłamięsz, a co gorsza—napróżno, bo ci nikt nie uwierzy. Pomówmy lepiej otwarcie i uczciwie.

FAJTASZKO.

Przepraszam; jeżeli już mamy rezonować na tym punkcie, to żądam prawa pierwszeństwa. Tytuł kładzie się na początku.

FEJNER.

Słusznie! górą antenaty!—Zaczynaj, hrabio.

RUCKI.

Za pozwoleniem, moi panowie; czybyście nie chcieli wytłómaczyć mi, po co te wszystkie historyje? Jeżeli to ma być zmierzenie sił przed wojną, i wzajemne odstręczanie, to nonsens, — bo nikt nieprzyjacielowi na słowo nie wierzy. Jeśli to koalicyja czterech przeciw jednej bogatej dziedziczce, to nonsens jeszcze większy,—boć przecie rzecz nie jest podzielna.

FEINER.

Istotnie, gdyby można podzielić, toby dla ciebie było dogodne;—jestem pewny, że odstąpiłbyś panny Worszylle.

RUCKI.

Kontentując się posagiem?—Możeś zgadł. W każdym razie upraszam o wyłączenie mnie od rozpraw.

FAJTASZKO.

W takim razie i ja także się cofam.

WORSZYŁŁO.

Co do mnie, ja powiedziałem swoje.

FEINER.

A zatem, ja oświadczam, że co do małżeństwa... A—ot i gospodarz.

SCENA IV.

Ciż — I BOGUSZ.

BOGUSZ.

Witam was panowie, i przepraszam za spóźnienie. Co słychać nowego?—O czem mówiliście w tej chwili?

WORSZYŁŁO.

O małżeństwie.

BOGUSZ.

A tak—o małżeństwie. W twoim wieku panie Worszyłło, marzy się jeszcze o tej idealnej harmonii dusz, o istocie ukochanej, przybranej w imaginacyi w tysiące przymiotów i zalet. W pozycyi hrabiego lub Feinera szuka się spokojności, domowego ogniska, opieki kobiecej.

FEINER.

O pozwól...

BOGUSZ.

Daruj—nie chciałem cię obrazić; może być, że szukasz czego innego, bo zresztą, każdy prawie w małżeństwie czego innego szuka; a co znajduje... (*zamyśla się*).

FAJTASZKO (*do Ruckiego na stronie*).

Zdaje mi się, że on znalazł nie złe utrzymanie.

BOGUSZ.

O tak panowie! małżeństwo jest piękną instytucyją. Tylko strzeżcie się źle trafić, bo czasem zmienia się w kajdany, których rozkucie nie w waszej mocy (*przeciera ręką po czole, jakby budząc się*). Darujcie, że ja, który was powinienem zachęcać dobrym przykładem, jako jedyny żonaty między wami, straszę was;—ale niekażdy tak jak ja trafia szczęśliwie.

RUCKI (*do Fajtaszki na stronie*).

Na milijony.

FEINER.

Panie nadchodzą.

WORSZYŁŁO (*do Bogusza*).

Co to jest! zbladłeś pan, ręka twoja drży—czyś pan chory, panie Bogusz?

BOGUSZ.

Nie, cóż znowu; — bądź spokojny mój przyjacielu! (*na stronie*). Choroba przechodzi w gorączkę; gwałtownie potrzebuję lekarstwa.

SCENA V.

Ciż — AMELIJA — MARYJA.

(*Przy wejściu witają się podaniem ręki z najbliższemi, ukłonem z dalszemi. Bogusz zostaje na boku. Podczas tej sceny muzyka zaczyna grać w głębi, i gra z małemi przerwami aż do końca aktu. Tańcujące pary przebiegają w głębi, gdzie ciągle powinien panować ruch ożywiony*).

FEINER.

Jesteśmy najpierwsi, ale nie należy się dziwić, że śpieszno nam było złożyć uszanowanie nasze paniom.

AMELIJA.

Wdzięczną panom jestem.

FAJTASZKO (*na stronie*).

Zbrodniarz!—wyrwał mi z ust taki piękny komplement.

RUCKI (*do Maryi*).

Jakie przeszliczne kwiaty wpięła pani w głowę! Któraż cieplarnia dostarczyła róż o te czasy?

MARYJA.

Nie wiem, bo to ojciec był łaskaw o tem pomyśleć; — ja nawet nie podziękowałam mu dotąd. Naprawię mój błąd teraz. Dziękuję, ojcze!

FEINER.

Rzeczywiście ma pani wzorowego opiekuna. Róż o tej porze dostać bardzo trudno; to już zakrawa na galanteryją, wcale nie ojcowską.

BOGUSZ.

Pochodzą z naszej cieplarni; jak widzisz zatem, nie przechodzą miary zwyczajnego trudu zerwania, lub obcięcia.

AMELIJA.

Zdawało mi się, że w naszej cieplarni róż niema.

BOGUSZ.

Musiały zakwitnąć, kiedy je Józef znalazł.

FAJTASZKO.

Cóż tak nadzwyczajnego róże w Lutym. Ja raz zrobiłem zakład z lady Charlstown, że jej dostarczę bukiet fijołków, wielki jak... jak...

RUCKI (*na stronie*).

Jak ośla głowa!

FAJTASZKO.

Jak rondo od kapelusza; — a przypominam sobie, że nosiliśmy wtedy bardzo szerokie ronda. Puściłem się w poszukiwania za bukietem, na dziesięć dni przed oznaczonym terminem, którym był bal w ambasadzie hiszpańskiej.—Wyjeżdzam z Paryża, licząc na Marsylyją—nie znajduję fijołków. Jadę do Cannes—nie ma fijołków; w Hyères, w Mentonie, Genui—daremnie ich szukałem. Jadę do Ferrary—nie ma; do Florencyi—nie ma; do Rzymu—nie ma; do Neapolu...

RUCKI (*do Fejnera i Worszylły na stronie*),

Zobaczycie, że on w dziesięć dni odbędzie podróż naokoło świata.

FAJTASZKO.

Dopiero w małej willi pod Messyną, znalazłem cały klomb pożądanych kwiatów. Zapłaciłem kilkadziesiąt skudów—bajeczną cenę; wsiadłem na statek expres, i na godzinę przed balem złożyłem bukiet u stóp milady. Wygrałem zakład, i uściśnienie ręki, ale chodziło mi głównie o dowiedzenie, — o czem i dziś pragnąłbym kogoś przekonać,—że umiałem i umiem zawsze dogodzić fantazyi pięknej damy, której się wyznaję sługą.

FEINER.

Widzisz hrabio—jaka szkoda żeś nie miał stosunku z jakim bankierem; byłby zatelegrafował do swego korespondenta w Palermo, aby ci przysłał bukiet na termin do Paryża ad ogni costo. Kwiat

byłyby z pewnością, a ty byś sobie był niewygód podróży lądowej, a przedewszystkiem morskiej, oszczędził.

FAJTASZKO.

Ludzie mego urodzenia nie znoszą niewygód na lądzie, ani na morzu.

RUCKI.

A to jeszcze sprobuj puścić się balonem.

FAJTASZKO

Panie Rucki! pańskie wyrażenie w tej chwili jest...

RUCKI.

Zanim znajdziesz odpowiednie określenie, hrabio, ja przez ten czas wolę skorzystać ze szczęśliwej sposobności, i zaprosić panią do walca.

FEINER.

Wstępując w twoje ślady, ośmielę się panią upraszać o pierwszego kontredansa.

WORSZYŁŁO.

A zemną czy raczy pani przetańczyć mazura?

MARYJA.

Dla czegóż bym panu odmawiać miała.

WORSZYŁŁO.

Bałem się... sądziłem...

FAJTASZKO.

W takim razie i ja służę pani do...

AMELIJA.

A, panowie, zostawcie mojej córce choć jeden taniec dla innych. Tymczasem, proszę panów do sali, bo goście zaczynają się schodzić. Chodź Maniu. (*do Bogusza*) Chcę z tobą pomówić mężu; powrócę tu za chwilę.

BOGUSZ.

Dobrze, będę cię czekał; choć nie wiem dlaczego—na balu...

AMELIJA.

Powrócę.

MARYJA (*do siebie*)

Jego dotąd nie ma! Czyżby mnie Major zwodził! (*wychodzi z Ameliją*).

FEINER.

No, panowie argonauci — płyńmy dalej.

RUCKI.

Masz ochotę zostać Jazonem?

FEINER.

Ustępuję wam z hrabią pierwszeństwa;—wszak wy głównie polujecie na złote runo.

FAJTASZKO.

Złote runo mam w herbie, a przymówek osobistych nie znoszę; proszę więc panów...

RUCKI.

Dokończysz w sali.

WORSZYŁŁO (*do siebie*).

Czy ona może mnie pokochać!

SCENA VI.

BOGUSZ *sam* — *później* AMELIJA.

BOGUSZ.

Chce zemną mówić—po co? Prawda! Wszak to żona moja. Istotnie, dzieje się ze mną coś niepojętnego! od pół roku nie poznaję sam siebie. Od pół roku... to jest od chwili powrotu Maryi. To dziecko opanowało mnie swoim urokiem naiwnym, rozbudziło nowe myśli, uczucia!.. Precz z tem słowem! to byłoby okropne!—Nie, nie,—tak źle nie jest, tak być nie może. Prowadziłem życie bezładne człowieka, którego nic nie obchodzi, który przeżył sam siebie. —Była to choroba, a dziś przechodzę kryzys; mam gorączkę i majaczę sam sobie. Co mnie obchodzi moja pasierbica; wydam ją za mąż;—za mąż... Ona nie kocha nikogo; tam dusza śpi,—zaślubi pierwszego lepszego, a ja... ja powrócę do dawnego życia. Tak! te noce bezsenne, gra w karty, osłabiły moje nerwy; trwożę się niepotrzebnie. Najlepszy dowód, że myślę o jej zamążpójściu, i nie robi to na mnie żadnego wrażenia—żadnego... (*zamyśla się*).

AMELIJA.

Janie!

BOGUSZ (*budzi się*).

A, to ty Amelijo!

AMELIJA.

Mężu! ja już oddawna chciałem mówić z tobą; muszę się dowiedzieć, co tobie jest; co znaczy ta nagła zmiana w twojem usposobieniu, postępowaniu. Niestety! wiem, że oddawna przestaliśmy być dla siebie tem, co nazywają—kochające się małżeństwo. Znosiłam twoją oziębłość, przyjmując ją za słuszną karę tego, co ją poprzedziło; ale ja nie mogę patrzeć na twój smutek, na tę letargiczną obojętność na wszystko, lub konwulsyjne szamotanie się—zwątpienia. Janie! wytłómacz się—co tobie?

BOGUSZ.

Mnie—nic. Wytwarzasz sobie jakieś obrazy himeryczne, jakieś dziwne przypuszczenia o mnie. Jestem zdrów, wesół, bogaty, dzięki tobie; a jeśli nie zawsze się śmieję, toć zdaje mi się, że i nie płaczę. Cóżby mnie zresztą trapić mogło?

AMELIJA.

Przypuszczałam, że może jakie straty majątkowe, znaczna przegrana....

BOGUSZ.

Mylisz się. Majątkiem twoim administruję sumiennie; a jeśli nie dorabiam, to nie tracę za wiele. Co do gry, to jak widzisz, i w tej mierze umiarkowałem się w ostatnich czasach. Uspokój się Amelijo; wybij sobie z głowy niepotrzebną trwogę. Jeśli co jest przedmiotem mego zajęcia teraz, to twoja córka; chcę dla niej być dobrym ojczymem.

AMELIJA.

I udaje ci się to zupełnie. Mania nie ma słów na twoję pochwałę, i ja jestem ci serdecznie wdzięczną za to, co robisz dla mego dziecka.

BOGUSZ.

O cóż ci zatem chodzi. Przyznaję ci się otwarcie, że mnie już zaczyna męczyć to życie zabaw i ruchu, w rezultacie czcze, i bez treści. To też kiedy Maryja pójdzie za mąż, co pragnąłbym aby jak najprędzej nastąpiło, wyjedziemy z Warszawy. Władzio może jeszcze długo pozostać w domu; — zamieszkamy na wsi, u ciebie, oddani tylko sobie i jemu; będziemy go wychowywać, uczyć życia, nietylko

z książki. Tak Amelijo, wyjedziemy ztąd, zapomnimy o wszystkiem o wszystkiem... (*bezwiednie do siebie)* Nawet o niej!

AMELIJA.

O! to by było szczęście prawdziwe dla mnię! Bóg byłby bardzo miłosierny, gdyby się to sprawdzić mogło. Więc ty mnie kochasz jeszcze Janie! mógłbyś żyć tylko ze mną i dla mnie, dla naszego syna!

BOGUSZ.

Tak... tak, bezwątpienia. No, ale teraz—wszak to bal u nas, prawdopodobnie jeden z ostatnich. Kończmy świetnie naszę rolę towarzyską, aby potem z tem lżejszem sumieniem osiąść w naszej idealnej samotni. Chodźmy, Amelijo —zawcześnie nam jeszcze udawać starych; trzeba tańczyć, bawić się, przyjmować gości... aż potem, kiedy ona kogoś wybierze... kiedy zostaniesz poważną babką...

AMELIJA.

Dziękuję ci za to wszystko coś powiedział! Odmłodziłeś mnie twemi słowami. Ja ciebie tak kocham, Janie!

BOGUSZ.

Patrz, hrabina zdaje się że cię szuka, a i mnie już czas pokierować zabawą. Chodźmy! (*podaje jej rękę—przechodzą do sali*).

SCENA VII.

ZBRODZKI — MAJOR.

MAJOR.

Słuchaj, panie Kazimierzu: jestem cierpliwy, jestem ogromnie cierpliwy, ale wszelka cierpliwość ma swoje granice. Godzinę przeszło pracuję nad tobą; zdaje mi się, że głuchego bym przekonał, że najbardziej narowistego konia bym ujeździł, a z tobą ani rusz! Zwracam twoję uwagę, panie Kazimierzu, że tak upartemi są tylko muły i innego rodzaju czworonogie zwierzęta, których przez szacunek dla ciebie wymieniać nie chcę.

ZBRODZKI.

Doskonale, Majorze; jeśli jeszcze zejdziesz do wymyślań, to już będzie dopełnienie miary twego pastwienia się nademną.

MAJOR.

Ależ...

ZBODZKI.

Pozwól Majorze—reasumujmy. Przed godziną wpadasz do mego mieszkania jak bomba, i z miną marsową wołasz głosem Stentora: kochasz Maryją, czy nie kochasz? — Zapytany nagle, zmięszałem się, i mimowolnie może powiedziałem to co myślę.—A zatem—ubieraj się we frak, biały krawat, oświadczaj się, i żeń.—Tak, że słuchając ciebie, możnaby przypuszczać, że takie rzeczy robią się we dwadzieścia cztery godzin.

MAJOR.

A ty byś może chciał czekać lat siedm co najmniej, jak Jakób na Rachelę.

ZBRODZKI.

Ależ nie, panie Majorze, i zaręczam ci, że jeśli tobie pilno, to mnie nie mniej. No, ale trzeba mi dać czas przecie namyślić się ochłonąć.

MAJOR.

Żebyś znowu drugie sześć miesięcy zwlekał? Nic z tego, mój paniczu—żeń się teraz, albo nigdy.

ZBRODZKI.

Dobrze! ale pozwólże mi przecie, Majorze, przekonać się chociażby o tem, czy ona mnie kocha—że to nie urojenie twoje, z życzliwości dla mnie; że to urocze, naiwne dziecko, nie uległo jakiejś chwilowej fantazyi, lub wpływowi twojej wymowy; że nareście mogę mieć nadzieję, że mnie pokocha dla mnie samego, i napełni moje życie tem jasnem światłem, jakiem już od chwili pierwszego poznania opromieniła moje serce i duszę.

MAJOR (*na stronie*).

Dzielny chłopak! ma ogień—rozbudził się. (*głośno*) Tra la la, bardzo ładnie. Czy pan nie chcesz czasem, żeby ci przyszła rzucić się na szyję, lub wyjąkała z płaczem, że żyć bez ciebie nie może.

ZBRODZKI.

Ale czy powiedziała ci, Majorze, że mogłaby żyć zemną, że mnie kocha, że chciałaby zostać moją żoną?

MAJOR.

No—jużcić nic podobnego nie mówiła; a gdzież skromność panieńska, wstydliwość wychowania. Ona mi nawet wcale o tobie nie mówiła (*na stronie*) Panie! przebacz mi grzech przeciwko ósmemu przykazaniu. (*głośno*) No, ale o ile mogłem wyrozumieć, to wroga w niej nie masz; i gdybyś tak odważnie sprobował, to tak jedną szansę na trzy licząc,—kosza możebyś nie dostał.

ZBRODZKI.

No widzisz, Majorze—łudziłeś mnie tak długo najpiękniejszemi nadziejami, a teraz w jednej chwili rozwiałeś wszystko przedemną.

MAJOR.

No, no, panie Kazimierzu! nie masz znów czego desperować; nic nie ma straconego; poradzę ci najprostszy sposób. Co masz siebie męczyć napróżno, a i mnie—nie wiem poco; zbierz się na kuraż; odmów pod Twoję obronę, i raz, dwa, trzy—pełnym frontem do ataku, marsz! —Jabym tak na twojem miejscu zrobił; poprosiłbym pannę do tańca,—tylko nie do żadnych tam lansierów, ani kadrylów, ale do naszego polskiego mazura, —i, wycinając hołubca, zawołałbym prosto z mostu: Kocham cię!—a ty? Zobaczysz, co ci odpowie, i będziesz wiedział, jak się masz stanowić. O, patrzaj—widzisz—tańczy polkę z Ruckim. A niegodzijasz, jak wywija! czuje, że tańczy z moją perełką. No dalej! albo starosta, albo kapucyn; śmiało naprzód, bo ci ją kto porwie; a ostrzą zęby—bo to królewski kąsek.

ZBRODZKI.

Masz racyją Majorze; muszę wyjść z tej niepewności; i jeżeli niezupełnie pójdę za twoją radą, to jednak muszę dowiedzieć się, co ona myśli.

MAJOR.

A więc czekam cię, panie Kazimierzu, zwycięzcą—albo...

ZBRODZKI.

Rozbitkiem. Do widzenia! (*wybiega*).

MAJOR.

Żeby nie ten przeklęty reumatyzm w nogach, tobym skakał, boć wreście jasna rzecz, że się to wszystko dziś jeszcze wyklaruje (*patrzy w głąb*). Poszedł prościutko do niej; kłania się—ona się czerwieni... staje za jej krzesłem—coś do niej szepcze. Brawo! zdaje

się, że mi się moja dyplomacyja udała (*usuwa się w głąb sceny, później wchodzi do sali*).

SCENA VIII.

FEINER—FAJTASZKO—RUCKI—*później* WORSZYŁŁO i BOGUSZ.

FEINER.

A ja powiadam wam, moi panowie, że to nie ma najmniejszego sensu. Przeszkadzamy tylko sobie wzajemnie, i żaden z nas nic nie wskóra. Co z tego, że ty przedrwiwasz hrabiego, który się nawet odciąć nie umie; co ztąd, że ja ośmieszę was obudwu, lub że Worszyłło wzdycha jak miech kowalski? Jeśli zamiast bruzdzić, nie będziemy sobie dopomagać, to przyjdzie ktoś piąty, i pannę nam hapnie z przed nosa.

FAJTASZKO.

Co do mnie, panie Rucki, ja znajduję, że pańskie postępowanie jest nieprzyzwoite, i to w najwyższym stopniu! Naprzykład, mówię pannie, że sentymentalność i głębokie uczucia dla kobiet, są w naszym rodzie sukcesyjne; a pan, nie wiedzieć zkąd, wtrącasz się z tem, że wszyscy Fajtaszkowie umierają na niestrawność. Zkąd pan wziąłeś tę niestrawność! Mój ojciec, panie, umarł na zapalenie kiszek.

RUCKI.

Przepraszam hrabiego—uważałem niestrawność za chorobę bardziej estetyczną; ale jeśli ci o to chodzi, mogę sprostować pomyłkę.

FAJTASZKO.

Mój panie! ja pana proszę, abyś zaprzestał bawić się moim kosztem.

FEINER.

A hrabio! to żądanie uważam za niesłuszne! Przecież wiesz, że on musi żyć zawsze na koszt cudzy. No, ale w rezultacie, moi panowie, zwracam waszę uwagę, że trzeba coś postanowić. Wszyscy nie ożenimy się — to fakt; musi ktoś innym ustąpić, bo w końcu pokłócimy się na dobre.

RUCKI.

Wiecie co—ja mam myśl.

FAJTASZKO.

Słuchamy—myśli pańskie są zawsze ciekawe...

FEINER (*na stronie podchwytując*).

Drogi do cudzej kieszeni (*głośno*) Jakiż tedy gienijalny projekt?

RUCKI.

Rzecz prosta; idąc razem ławą jak śledzie... Feiner, proszę cię, nie bierz śledzi za osobistą przymówkę.

FEINER.

Mam twoje usposobienie. Wszak ty się nigdy nie obrażasz, gdy mówią o pochodzeniu pieczeniarzy.

RUCKI.

Dziękuję. Otóż, jak powiadam, idąc razem, nic nie wskóramy; rozdzielimy się zatem kolejno—jeden pójdzie pierwszego tygodnia; tydzień, to aż za wiele na podbicie serca młodej panny. Gdy się pierwszemu nie uda, pójdzie drugi, i tak aż do skutku.

FAJTASZKO.

Nieźle by to było, i co do mnie, tydzień najzupełniej mi wytarczy.

RUCKI.

Żeby dostać odkosza.

FAJTASZKO.

Niech się dowie pan Rucki, że w mojej familii nie dostaje się odkosza.

RUCKI.

Tylko idzie się do kosza, na stare graty.

FAJTASZKO.

Mój panie! stare graty... Zabraniam panu nazywać mnie starym gratem.

FEINER.

Panowie! uspokójcie się! Kłótnią nie dojdziemy do niczego. Zatem, gdybyśmy nawet przyjęli projekt Ruckiego, to jeszcze istotnie nie jest on wykonalny, bo któż innnym pierwszeństwa ustąpi?

RUCKI.

I na to znam sposób; niech los rozstrzyga.

FAJTASZKO.

Ciągnąć pannę na supełki,—fi! to strasznie gminnie!

RUCKI (*do Feinera*).

Goły, jak święty turecki, brzydki jak stara małpa—i to pozuje na arystokracyją!

FEINER.

Ma choć przynajmniej jakieś przekonania, kiedy ty...

RUCKI.

Ubliżasz mi Feinerze; — ja mam wielki szacunek dla twoich praojców, cenię tę zdolność finansową...

FEINER.

Nie wiem, czy ty cenisz moich praojców; ale jeśli oni byli do mnie podobni, to by cię z pewnością nie cenili. Wracajmy do rzeczy;—co chcecie za prawo pierwszeństwa?

RUCKI.

O hola! mój kochany, nie wszystko jest do kupienia.—Proponuję partyją écarté z pulą do pięciu marek. Stawka—tysiąc rubli, a przegrywający rozgrywają się ze sobą;—kto wygra, bierze pierwszy tydzień, a przegrywający w indemnizacyi weźmie stawkę.

FEINER.

Rozumiem—dla ciebie dwa tysiące rubli—to tanio; kto przegra, nie pokazuje się tu przez dwa tygodnie.

FAJTASZKO.

I ja się zgadzam; zastrzegam sobie tylko, aby markować damy nie króle,—bo ja do dam mam szczęście.

RUCKI.

Chyba do malowanych.

FAJTASZKO.

Panie Rucki! ja już prosiłem...

RUCKI.

No, no filgranowy adonisie, nie rzucaj się tak, bo się rozlecisz.

FAJTASZKO.

Ludzie mojego pochodzenia ulepieni są...

FEINER.

Z papier maché—to wiadomo. Panowie, chodźmy szukać stolika i Worszyłły.

RUCKI.

On nie potrzebny. Już się rozpłynął zapewne we łzach, i ulotnił w westchnieniach. Zatem panowie, vogue la galère, do kart.

FEINER.

Zastrzegam—do kart nowych.

RUCKI.

Ostrożność godna bankiera.

FEINER.

Cóż chcesz! strzeżonego pan Bóg strzeże.

RUCKI.

Zrozumiesz hrabio, że powiedział strzeże... że zatem mowa nie o strzyży, bo znów byś się gotów obrazić.

FAJTASZKO.

Strzygą tylko owce i barany—nie rozumiem zatem...

RUCKI.

Właśnie też—zupełnie jak one.

FEINER.

Panowie, marsz do walki! Nagrodą Ximena.

RUCKI (*do Fajtaszki*)

Naprzód, Cydzie Rodrygu!

FAJTASZKO.

Rozgrywać pannę na pięć punktów w écarté... Za dawnych czasów z orężem w dłoni rozprawianoby się o nią.

RUCKI.

Jeśli twoi przodkowie byli podobni do ciebie... to chyba dostawały im się w takich wypadkach same braki.

FAJTASZKO.

Panie! kobiety z mojego rodu...

RUCKI.

Rodziły synów idyjotów, i umierały na niestrawność;—mówiłeś to już przed chwilą.

FAJTASZKO.

Ja powiadam... (*wychodzą*).

SCENA IX.

WORSZYŁŁO—BOGUSZ.

WORSZYŁŁO (*wbiega z lewej i spotyka Bogusza*).

BOGUSZ.

Dokąd tak biegniesz, Henryku?

WORSZYŁŁO.

Alboż wiem! chciałem uciec z tej sali; a dokąd—mniejsza o to. Może gdzieś grają, albo piją—tam pójdę.

BOGUSZ.

Co to jest? Co się tobie stało? Zajście jakieś? Co ci zrobiono?

WORSZYŁŁO.

Na co ci wiedzieć!

BOGUSZ.

Ależ, proszę cię, może będę mógł ci w czemś dopomódz?

WORSZYŁŁO.

O nie! mnie już nikt dopomódz nie może.

BOGUSZ.

Jednakże...

WORSZYŁŁO.

Chcesz tego—zatem posłuchaj... a i tak może mi ulży, gdy w żywe słowo moję rozpacz i boleść przeleję. Słuchaj—znasz mnie od lat kilku... Przyjechałem do Warszawy, tak jak my wogóle, używać trochę życia; — skończyło się na tem, że straciłem tu część majątku, choć dzięki Bogu jeszcze to co mam, wystarczyłoby mi na utrzymanie. Wszedłem w towarzystwo hulaszcze, i wyrodziła się wemnie ta fatalna namiętność do kart. W chwilach wolnych od jej napadów, sam już patrząc zimno na siebie, mniemałem, że jestem zgubionym. Los chciał mnie jeszcze okrutniej doświadczyć, podając mi lekarstwo straszniejsze od samej choroby! Nagle, na mojej drodze stanęło dziewczę cudowne, istny anioł z nieba, pełen naiwnego uroku, idealnego wdzięku, poezyi, wcielenie wszystkich marzeń człowieka. Ja pokochałem to dziecko! a ta miłość przerodziła mnie nagle w innego człowieka. Porzuciłem dawnych towarzyszów, i życie to głupie, bez jutra. Wróciłem do dawnej wiary we wszystko, co dobre i piękne; — i zdawało mi się, że to chyba Bóg ulitował się na-

demną, że matka moja święta wyprosiła u niego, abym nie tonął w tem błocie, aby ta jego posłanka wyciągnęła mnie z kałuży. Oh! jaki byłem szczęśliwy w chwilach mojej nadziei i marzeń! Dziś nastąpiło przebudzenie okropne. To nie Bóg zesłał anioła, to czart w nową pogrążył mnie otchłań. Ha! ha! ha! bo też ja jestem doprawdy naiwny! Wierzyć, że dla mnie szulera, rozpustnika, takie stworzone szczęście... — No, dalej Janie, jako gościnny gospodarz, musisz poić swoich gości! Gdzie jest wino... gdzie w karty grają... Szczęście w karty mieć dziś powinienem—ona kocha innego!

BOGUSZ.

Henryku! tyś w gorączce.

WORSZYŁŁO.

W gorączce? — Patrz! tam! (*w głębi tańczą walca, — Maryja ze Zbrodzkim przesuwają się na przodzie, tańcząc powoli*). Widzisz, jak ją przyciska do piersi, jak ona pochyliła się na jego ramię!

BOGUSZ.

O kim ty mówisz?

WORSZYŁŁO.

O kimżeby! o niej!... o Maryi!

BOGUSZ.

O Maryi... o Maryi... szalony jesteś! Maryja nie kocha nikogo.

WORSZYŁŁO.

O! i ja tak myślałem;—teraz już nie wątpię.

BOGUSZ

Jakiż masz na to dowód? Coś widział? Co słyszałeś? Mów! albo...

WORSZYŁŁO.

Patrz sam i słuchaj, bo tutaj idą właśnie.—Ja dłużej tu pozostać nie mogę;—dosyć już słyszałem. Pójdę sam szukać kart i wina (*wybiega*).

BOGUSZ.

Nie, nie—to być nie może!.. A jednak—czuję tu, w piersiach, taki ból straszny! Więc i ja ją kocham! Boże wielki... litości!.. to nazbyt okropna próba! Nadchodzą—słuchajmy (*schodzi na bok sceny*).

SCENA X.

ZBRODZKI—MARYJA—BOGUSZ (*słucha z boku sceny*)

ZBRODZKI.

Spocznij pani tutaj na chwilę... jesteś zmęczona.

MARYJA.

O nie! chciałbym tańczyć tak dłużej.

ZBRODZKI.

Czy z Ruckim?

MARYJA.

Dlaczegóż z nim?

ZBRODZKI.

Najlepszy tancerz ze wszystkich tu obecnych.

MARYJA.

Nie uważałam tego. — Wszystko mi jedno z kim tańczę, byle tańczył dobrze.

ZBRODZKI.

To szkoda.

MARJA.

Dlaczego?

ZBRODZKI.

Bo są może tacy, którzyby pragnęli, abyś pani z niemi tylko tańczyć lubiła, panno Maryjo.

MARYJA.

Gdyby mi powiedzieli o tem...

ZBRODZKI.

To i cóż? Cobyś im pani odpowiedziała?

MARYJA.

Nikt mnie dotąd nie pytał, więc nie jestem przygotowaną na odpowiedź.

ZBRODZKI.

A jeśliby to był ktoś, co z panią tańczył przed chwilą?

MARYJA.

Ostatnią polkę tańczył zemną pan Worszyłło.

ZBRODZKI.

A gdyby to chodziło nie o Worszyłłę, ale o tego, który teraz w tej chwili znajduje się blizko pani?

MARYJA.

(*pokazując w głębi Majora*) O Majora... on nie tańczy przecie (*na stronie*) Poczekaj mój panie, muszę cię trochę pomęczyć, teraz, kiedym już pewna swego.

ZBRODZKI.

Panno Maryjo! nie igrajmy ze słowami. Pani udajesz chyba, albo nie chcesz zrozumieć tego co mówię; — a jednak od tego zależy cała przyszłość moja, szczęście mojego życia!

MARYJA.

O, to nazbyt wiele; — któż widział o tak poważnych rzeczach mówić na balu.

ZBRODZKI.

O czemże pani chcesz abym mówił, gdy to jedyna myśl, która opanowała serce moje i głowę.

MARYJA.

To źle, to zakrawa na gorączkę. Trzeba się leczyć.

ZBRODZKI.

Mój lekarz jest przy mnie; a jeśli ten mnie nie uleczy, chorym pewno zostanę na długo, może na życie całe.

MARYJA.

Więc złe już naprawdę zaszło tak daleko?

ZBRODZKI.

O tak, droga, pani moja! to choroba już nię uleczalna.

MARYJA.

A więc—na cóż lekarz się przyda?

ZBRODZKI.

Żeby życie zamienił w raj rozkoszny, albo—zabił na miejscu.

MARYJA.

Aby radzić w tak ważnym wypadku, mam zbyt mało doświadczenia; ale podam panu środek. .

ZBRODZKI.

Jaki?..

MARYJA.

Niech się pan zapyta mojej mamy. Tylko trzeba jej wszystko otwarcie powiedzieć.

ZBRODZKI.

O droga pani moja!

MARYJA.

Uciekam do sali, bo się boję wybryków gorączki chorego pacyjenta.

ZBRODZKI.

Teraz będzie posłuszny jak dziecko.

MARYJA.

Grzecznym dzieciom daje się nagrodę. (*wyjmuje kwiat z bukietu przyciska nieznacznie do ust i podaje Zbrodzkiemu*).

ZBRODZKI.

O mój aniele!

MARYJA.

Uciekam... Major mnie woła (*wybiega do sali*).

ZBRODZKI.

Szczęścia mego nikt nie wypowie! Jestem kochany! zdaje mi się, że świat cały uśmiecha się do mnie, że wszyscy i wszystko dokoła raduje się zemną.

BOGUSZ.

(*zmieniony, blady, stara się panować nad sobą*).

Słówko, panie Zbrodzki!

ZBRODZKI.

Ah! to pan, panie Bogusz, cieszę się, że pana spotykam w tej chwili.

BOGUSZ.

Słuchaj pan... słyszałem twoję rozmowę z Maryją.

ZBRODZKI.

Więc pan wiesz, że ona...

BOGUSZ.

Nie przerywaj mi pan... słyszałem wszystko! Ale zawiodłeś się pan, Maryja cię nie kocha... To imaginacyja młodego dziecka podrażniona przez pana, wywołała to co się stało. Postępek pański uważam za nieprzyzwoity, niegodny uczciwego człowieka, i żądam, abyś natychmiast mój dom opuścił i nie wracał tu więcej; abyś pan o niej zapomniał, tak jak ona zapomni o tobie.

ZBRODZKI.

Nie rozumiem pana. Jakiem prawem mówisz tak domnie?

BOGUSZ.

Jakiem prawem? prawem opiekuna kobiety, którą zwieść chciałeś.

ZBRODZKI.

Ja! zwieść Maryję! ależ z jakiego powodu?

BOGUSZ.

Choć sam bogaty, kochasz ją dla jej pieniędzy, dla majątku... od przybytku głowa nie boli. Wmówiłeś w nią uczucie, aby zagarnąć jej posag.

ZBRODZKI.

Ani słowa więcej! Gdybyś pan nie był mężem jej matki...

BOGUSZ.

To i cóż?

ZBRODZKI.

Zabiłbym cię za to, coś powiedział.

BOGUSZ.

Ależ ja właśnie chcę tego! No, dalej! Czyż tylko przy młodych dziewczętach masz odwagę, aby im zawracać głowę, a z mężczyzną jesteś tchórzem!

ZBRODZKI.

Panie!

BOGUSZ.

Tak, dowiedz się, że póki ja żyję, ona nigdy twoją nie będzie. A teraz będziesz-że się zemną strzelał, nędzniku?

ZBRODZKI.

Tak, i zabiję cię, szaleńcze!

BOGUSZ.

O! to jeszcze zobaczymy!

SCENA XI.

CIŻ—FAJTASZKO—FAJNER—WORSZYŁŁO—RUCKI.

BOGUSZ.

Patrz pan, oto moi towarzysze karciani; — tym można ufać, nie zawodzą... Wybierzemy między niemi sekundantów; — zejść się zaraz mogą po balu, tu umnie, i przed ósmą wszystko będzie skończone.

ZBRODZKI.

Dobrze; — wybieram Worszyłłę i Feinera.

BOGUSZ.

Zgoda, ja porozumiem się z Fajtaszką i Ruckim. A teraz milczenie.

ZBRODZKI.

Bądź pan spokojny.

FAJTASZKO.

Feiner wygrał pannę, Feiner pieniądze, a ja zostałem na koszu. Taki pech przechodzi wszelkie pojęcie.

BOGUSZ.

Hrabio—Rucki—pozwólcie słów kilka (*bierze ich na bok i rozmawia po cichu*).

ZBRODZKI.

Henryku, panie Feiner, mam do was prośbę o wielką przysługę.

FEJNER.

Służę ci, panie Kazimierzu!

WORSZYŁŁO.

Cóż ja dla ciebie zrobić dziś mogę? jesteś szczęśliwy, winszuję ci!

ZBRODZKI.

O, nie masz czego, mój drogi! (*rozmawia z niemi po cichu*).

SCENA XII.

Ciż—MAJOR—AMELIJA—MARYJA.

MĄJOR.

A ty mała dyplomatko! więc męczyłaś go?

MARYJA.

Bardzo krótko, dziaduniu, jak cię kocham, bo zresztą nie miałam siły dłużej... Czym dobrze zrobiła, mateczko?

AMELIJA.

Dobrze, dziecko drogie! da Bóg że nigdy tego żałować nie będziesz. Lecz gdzież to ojciec? A, tutaj panowie.

BOGUSZ.

(*gestem nakazuje milczenie otaczającym*).

O tak, my właśnie naradzaliśmy się nad tem, kto będzie prowadził kotylijon. No, jakże, wszak tańczymy wszyscy?

MĄJOR.

Z wyjątkiem mnie przecie. Wolałbym, żebyście jak dawniej kończyli mazurem; pan Kazimierz z Marynią ślicznieby wyglądali w pierwszej parze. No ale dziś inna moda, wolicie się francuzić!. Mniejsza o to!.. Podaj i tak panie Kazimierzu rękę tancerce, i dalej naprzód! Wszak skarby trzymasz w dłoni.

FAJTASZKO.

(*na stronie do Ruckiego i Feinera*). Zkądże się ten piąty do gry mięsza!

RUCKI.

(*na stronie do Fajtaszki*). Wyrzucimy go też jak niepotrzebne karty.

MARYJA (*do Zbrodzkiego*).

Mówiłeś pan z moim przybranym ojcem?

ZBRODZKI.

Nie jeszcze (*na stronie*) Boże! co jej powiedzieć!

MARYJA.

To źle, trzeba było już zacząć.

FEINER.

No, grają kotylijona. Popisz się hrabio, tylko nię jak w écarté. (*do Worszylly*) Więc tutaj o szóstej rano...

FAJTASZKO

Kiedy mi zawsze damy zabierają.

RUCKI.

To tańcz z waletami.

FAJTASZKO.

A to już chyba z tobą (*na stronie*). Raz mi się udało .

AMELIJA (*do męża*).

Szczęśliwą jestem, ozdrowiałam prawie zupełnie, że tobie Janie choć trochę wesołości i humoru powróciło.

BOGUSZ.

O tak! tak bądź spokojna... Widzisz, śmieję się, pójdę tańczyć, (*na stronie*), Jego krew albo moja! w każdym razie to ogień ugasi.

MAJOR.

(*Patrząc za niemi*) Śmiał się tak dziwnie, nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdaje, jakby tu tańczono na wulkanie!

AKT III.

(scena przedstawia gabinet Bogusza. Czworo drzwi, z lewej szesląg, na którym leży Fajtaszko, z prawej kominek, przed którym na fotelu siedzi Rucki, okryty szalem. Lampa na biurku przyćmiona).

(*Noc*).

SCENA I.

FAJTASZKO—RUCKI.

RUCKI.

Brr... jak zimno! niech djabli wezmą taką noc balową. Hrabio Fajtaszko!

FAJTASZKO.

Czego chcesz! czy już przyszli?

RUCKI.

Nie, właśnie dlatego cię budzę.

FAJTASZKO.

No to ja przyznam ci się, że wolę spać, niż rozmawiać z tobą.

RUCKI.

Jaki to miły człowiek, nawet kiedy śpi!

A jednak muszę się z nim porozumieć. Słuchajno hrabio!., no, wstańże śpiochu!

FAJTASZKO.

Suplikuję cię, żebyś sobie poszedł do djabła! Dość mi życia zatrułeś wieczorem, czego mnie jeszcze teraz męczysz?

RUCKI.

Muszę z tobą mówić, bo chodzi o nasz własny interes.

FAJTASZKO.

Jakto o nasz interes?

RUCKI.

No, o mój i twój.

FAJTASZKO.

Ja nie mam z tobą wspólnych interesów.

RUCKI (*na stronie*)

A to już bydlę siedemdziesiątej czwartej próby. (*głośno*) Słuchajże, czy masz być sekundantem Bogusza, czy nie?

FAJTASZKO.

A po kiegoż licha, leżałbym na tym twardym jak kamień szeslągu, gdyby nie ten nieszczęśliwy koncept Bogusza. — Jestem mu coś winien, zresztą nie odmawia się takiej przysługi entre gens du monde.

RUCKI.

To widzisz, kochanku, według ciebie;—ale co do mnie, to jabym się nie narażał tak łatwo na kozę, gdybym tu nie miał własnego interesu.

FAJTASZKO.

A to ciekawe, jaki ty możesz mieć interes w pojedynku Bogusza?

RUCKI.

Nie powiedziałbym ci o nim, gdybym cię nie potrzebował; ale ponieważ nie mogę działać sam, zatem rozczmuchaj się i pogadajmy.

FAJTASZKO.

Czekaj, przeciągnę się. — No tak, już jestem gotów.—Ślicznie człowiek wygląda! Biały krawat i frak jak na ironiją. Gors pomięty... Co się to dla tej przyjaźni nie robi! — Ogień wygasł, bój się Boga, zmarznę.

RUCKI.

Masz dywanik przed biurkiem, to się okryj.

FAJTASZKO.

A istotnie nie zła myśl! tylko może powalany, to frak zniszczę.

RUCKI.

To wytrzep przedtem.

FAJTASZKO.

Ja! mam dywan trzepać!

RUCKI.

A no, jużci ja tego nie zrobię. Owinąłem się szalem i zaczyna mi być cieplej.

FAJTASZKO (*wytrzepując dywanik*).

Na co to czasem schodzi człowiek najlepszego towarzystwa!

RUCKI.

Na trzepanie dywanów. Wiesz, nawet ci nie źle idzie; jak się wprawisz, może ci się przydać.

FAJTASZKO.

Panie Rucki! ludzie tacy jak ja nie trzepią...

RUCKI.

Tylko bywają trzepani! Kontent jesteś? No a teraz przyjdźmy do interesu. Czyś wiedział o tem, że Zbrodzki jest piątym konkurentem do panny?

FAJTASZKO.

Nie.

RUCKI.

To naturalne, bo ty zwykle nie wiesz o bożym świecie. Ale co dziwniejsze to to, że ja niczego się nie domyślałem. Otóż widzisz, w Zbrodzkim bylibyśmy mieli bardzo niebezpiecznego rywala.

FAJTASZKO.

Ja nie sądzę. Nie jest hrabią, zwyczajny szlachcic...

RUCKI (*na stronie*).

Ciekawa rzecz w czyim czerepie siedzi mózg tej dziewięciopałkowej mumi,—bo że w tej głowie za pół grosza go niema, to pewna.

FAJTASZKO.

Co to mamroczesz pod nosem?

RUCKI.

Podziwiam trafność twoich obserwacyj.—Otóż uważasz, hrabia czy nie hrabia kochany Kazieczek byłby nam pannę z przed nosa porwał. Na szczęście nasz przyjaciel Jan, człowiek jak się pokazuje krwistego temperamentu, postanowił mu w tem przeszkodzić. Przemówili się... A propos, czy ty nie wiesz, o co się oni przemówili?

FAJTASZKO.

Nie wiem.

RUCKI (*na stronie*).

Jestem naiwny! pytam go się jeszcze. *(głośno)* Mniejsza o to, dość że ta kłótnia nie mogła wypaść dla nas bardziej w porę. Obecnie jednak, wszystko zależy od naszego sprytu.

FAJTASZKO.

Od jakiego znowu sprytu!.. pokłócili się, pogodzą się; pójdziemy na śniadanie do Bouquerella, i spać się położymy potem.

RUCKI.

Fajtaszko, tobie musi być na imie Dyjonizy?

FAJTASZKO.

Dlaczego?

RUCKI.

Bo tego świętego zwykle malują bez głowy.

FAJTASZKO.

Ależ...

RUCKI.

A toż naiwny potomku dziewięciu pałek, czyż ty przypuszczasz że jabym tutaj siedział od godziny, gdyby chodziło o nędzne śniadanie? Zrozumiejże, zasuszona latorośli świetnego domu Fajtaszków, że ja tu muszę co innego mieć do roboty, jak rzucać skarby moich pomysłów w twoję zakutą mózgownicę.

FAJTASZKO.

Panie Rucki!

RUCKI.

A gniewaj się sobie, twój idyjotyzm już mnie do pasyi doprowadza! Masz przed sobą grę najpiękniejszą, i ty nie rozumiesz nic... nic zgoła!

FAJTASZKO.

Ależ co mam rozumieć!?

RUCKI (*na stronie*).

Kretyn jak Boga kocham, kretyn formalny! (*głośno*) Co będzie z tego, jak się Bogusz ze Zbrodzkim pogodzą? Nie wiesz?.. No to ja ci powiem; wyda za niego pasierbicę i rzecz skończona. A co dla nas zostanie?

FAJTASZKO.

No prawda! jak wyda córkę, to cóż dla nas zostanie?

RUCKI.

A no, guzik i pętelka.

FAJTASZKO.

A tak, guzik i pętelka.

RUCKI.

a stronie) To już się teraz pozytywka zrobiła; jak go nakręcić tak ędzie. Ha! może to i lepiej. (*głośno*) No otóż widzisz, naszym intere·em jest niedopuścić, aby Zbrodzki pogodził się z Boguszem.

FAJTASZKO.

A jak zechce?

RUCKI.

To my na to nie pozwolimy. Wszystko w taki·j sprawie zależy ›d sekundantów. Właśnie dlatego obudziłem cię, aby ci wytłoma-zyć, że powinieneś mnie wspierać, i zgadzać się na wszystko, co ja powiem przy układach. Jeśli pojedynek przyjdzi e do skutku, to choćby nikt nie był ranny, pani Bogusz nigdy córki nie wyda za człowieka, który chciał zabić jej męża. —A zatem pole dla nas obu-dwu otwarte. No rozumiesz?

FAJTASZKO.

A no rozumiem.

RUCKI.

Chwała Bogu! to ci się rzadko zdarza. Zresztą uważaj, że ani na krok nie przestępujemy danej nam przez Jana instrukcyi; wszak kazał nam postawić warunki jaknajostrzejsze. Swoją drogą nie chciałbym, aby śmierć wynikła z tego spotkania, bo to pachnie kozą; ale ranka mała, ot tak coś w rękę... albo w nogę, toby mi się przydało.

FAJTASZKO.

Więc mamy nastawać na pojedynek?

RUCKI.

Koniecznie.

FAJTASZKO.

Wiesz co, ja ci powiem tak między nami, szczerze, że mnie to już zaczyna męczyć, i że po namyśle wolałbym się zwrócić w inną stronę. — Tu noc niespana! ryzyko z kozą! to wszystko niema wiel-

kiego sensu. Przecież mogę znaleść inną pannę.—Prawda że ta dosyć ma warunków... Cóż ty, nie słuchasz mnie?

RUCKI.

A ktoby twoich bredni słuchał. Idą... trzymajmy się ostro.

FAJTASZKO.

Wolałbym być w łóżku, przyznaję się otwarcie. Co zrobić z tym dywanem? Zrzucić, zmarznę—nie zrzucić, będą się śmieli—zresztą to ubliża mojej godności... takiem się rozgrzał, zrzucę.

SCENA II.

FAJTASZKO—RUCKI—FEINER—WORSZYŁŁO—*potem* BOGUSZ.

FEINER.

Przepraszamy was, panowie, za opóźnienie, ale musieliśmy się dokładnie porozumieć z naszym przyjacielem.

RUCKI.

Wstęp zbyteczny i lepiej przystąpmy do samego przedmiotu zebrania.

FEINER.

Zdaje mi się, że zwykłe formalności są tu zbyteczne,—zatem nie potrzebujemy dodawać, że jako przyjaciele pana Kazimierza Zbrodzkiego, przyszliśmy w jego imieniu żądać satysfakcyi, za obrazę wyrządzoną mu przez pana Jana Bogusza. Sądzę jednak, że przedewszystkiem z nim powinniśmy się rozmówić.

RUCKI.

Pan Bogusz upoważnił nas do odpowiedzenia w jego imieniu, że innego zadość uczynienia jak z bronią w ręku dać nie może; i że przeciwnie on uważa się za obrażonego przez pana Zbrodzkiego, a tem samem pojedynek jest nieunikniony.

WORSZYŁŁO.

Jednakże...

RUCKI.

Takie dostaliśmy instrukcyje, i od nich odstąpić nie możemy.—Co więcej, pan Bogusz pragnąłby, aby pojedynek odbył się o świcie dziś jeszcze.

FEINER.

W takim razie choć z przykrością, z przyjaciół pojednawczych

należy nam przejść do roli sekundantów. Słuchamy warunków.— Najprzód czas?

RUCKI.

Za godzinę, jak się rozwidni.

FEINER.

Zgoda.—Miejsce?

RUCKI.

Pan Bogusz ma w ogrodzie strzelnicę, a sąsiednich mieszkańców zresztą dość odległych, nie zdziwią wcale strzały, do których są przyzwyczajeni.

FEINER.

Jednakże żona... słudzy...

RUCKI.

Jak nas objaśniono, nie usłyszą nawet; zresztą wszak my nawet sami strzelaliśmy tam w różnych porach dnia, a nawet i nocy.

FEINER.

Za pozwoleniem, wszak jeszcze nie mówiliśmy o broni?

RUCKI.

Nasz przyjaciel wybiera pistolety.

FEINER.

Kto ich dostarczy?

RUCKI.

Oto są; zna je zarówno pan Zbrodzki jak i Bogusz. Zresztą zdejmiemy wiziery.

FEINER.

Pozostają już zatem warunki samego spotkania, które nam już razem ułożyć wypada.

RUCKI.

Sądzę, że kroków dwadzieścia, a meta na kroków dziesięć. Strzelanie aż do pierwszej krwi, wszak tak hrabio? A toż co, zasnął. Fajtaszko! obudź—że się!

FAJTASZKO.

Co, czy już się biją?

RUCKI (*na stronie*).

Popsuta maszyna (*głośno*). Układamy warunki;—więc zgadzasz się na to, com mówił?

FAJTASZKO.

Zgadzam, zgadzam.

FEINER.

Zasnął znowu! Rudera!

WORSZYŁŁO.

I ja się zgadzam, panie Rucki, na twe warunki tylko w pojedynku pańskim zemną.

RUCKI.

Co?

WORSZYŁŁO.

Kto tak jak pan lekceważy życie innych, musi bardzo lekko cenić własne, i ma je chyba na zbyciu. Zatem ja służę panu chętnie.

RUCKI.

Ależ moj panie, to szaleństwo!

WORSZYŁŁO.

A! poznaję pana po tem, coś powiedział. Jesteś z tej zacnej falangi serdecznych przyjaciół, których tak często spotkać można między naszą młodzieżą, — co najmniejszą iskierkę niezgody, nieporozumienie chwilowe, spór o przedmiot błahy lub dziecinny, gotowi rozdmuchać w wielki ogień nienawiści, śmiertelnej obrazy i krwawego zajścia. Ród bohaterów, szafujący życiem i zdrowiem swych naiwnych przyjaciół, aby módz się potem pochwalić w salonach, najbliższym choć zupełnie bezpiecznym udziałem w krwawym dramacie — którego pierwszymi stali się powodami!

RUCKI.

Panie! obrażasz mnie pan!

WORSZYŁŁO.

Cóż dalej?

RUCKI.

Dalej! Fajtaszko słyszysz, pan Worszyłło obraża nas i chce się z tobą strzelać.

FAJTASZKO.

Co? zemną strzelać!... oszalał. Za coby się znów miał strzelać zemną? to Zbrodzki z Boguszem mają się strzelać.

WORSZYŁŁO.

Skończmy te komedyją, panie Rucki! Sekundanci są na to, aby

przeszkadzać starciu do ostatniej chwili, i ten obowiązek spełnić powinniśmy. Jeśli pojedynek jest nieunikniony, potrzeba tak ułożyć warunki, aby o ile można rezultat był najszczęśliwszy. Zgoda zatem na pistolety, ale o kroków trzydzieści i po pięć kroków do mety, tak więc baryjera pozostanie o kroków dwadzieścia. — Nie na tem koniec; — ponieważ jak widzę panowie nie wypełniacie waszego zadania; my spełnimy nasze. Musiemy się widzieć z panem Boguszem, może być że zgoda jest jeszcze możliwa.

FEINER.

Dziękuję ci, żeś to powiedział, i wstyd mi, żem cię nie uprzedził. Chodźmy do Bogusza.

SCENA III.

Ciż i Bogusz.

BOGUSZ.

Słyszałem rozmowę panów. Pan Rucki działał w mojem imieniu i zupełnie zgodnie z moją wolą. — Przełożeń waszych słuchać nie mogę i nię chcę; a teraz nie pozostaje mi nic więcej, jak powiedzieć wam do widzenia na placu.

WORSZYŁŁO.

Jednakże Janie...

BOGUSZ.

Daruj mi przyjacielu, nie mogę cię słuchać, i mam tylko jednę do was prośbę. Przyśpieszcie wszystko jak można najbardziej!

FEINER.

Janie! wszak nie masz do nas pretensyi o udział jaki bierzemy ze strony pana Zbrodzkiego.

BOGUSZ.

Najmniejszej, wierzcie mi, — wolę was niż kogo innego. No, a teraz panowie, zapewne musicie się porozumieć ze stroną przeciwną, a i ja chciałbym się przygotować. Obejrzyjcie miejsce, a za godzinę służę wam.

FEINER *(do Worszylly)*.

Ha! nie ma co robić. Chodźmy.

WORSZYŁŁO.

Jednakże...

FEINER.

Sprobujemy jeszcze na placu.

RUCKI.

Widzicie panowie zatem, że mieliśmy racyją mówić w ten sposób, — ty panie Henryku nie miałeś się czego sierdzić; zatem podajmy sobie ręce.

WORSZYŁŁO.

To zbyteczne... do widzenia Janie! Nie wątpię, że to się wszystko dobrze skończy.

FEINER.

I ja także.

BOGUSZ.

Oh! i ja nie wątpię!

RUCKI.

Fajtaszko! znowu zasnął.

FAJTASZKO.

Co to jest? Czy znowu kto się zemną chce strzelać? w wampirów się dziś zamienili.

RUCKI.

No ruszaj się, stary niedołęgo. Janie, przyjdziemy tu po ciebie.

BOGUSZ.

Dobrze, będę czekał.

FAJTASZKO.

Ohydna noc!... Jeśli mi za to panny nie dadzą, to już chyba zostanę starym kawalerem. (*wychodzą*).

SCENA IV.

BOGUSZ *sam* — *później* JÓZEF.

BOGUSZ.

Nareszcie poszli... krew mnie pali... czoło jak w ogniu (*dzwoni*). Pootwieraj tu okna.

JÓZEF.

Ależ jaśnie panie!...

BOGUSZ.

Co?

JÓZEF

Zima — okna zakitowane.

BOGUSZ.

Oderwij!

JÓZEF

(*na stronie, odchodząc po otworzeniu okna*).

Oszalał chyba... okna otwierać na ośmnaście stopni mrozu! (*wychodzi*).

BOGUSZ.

Ha! potrzebowałem powietrza — lodu na głowę... i tu w piersi może palić przestanie. Co za okropna noc!... śmiać się, bawić — kiedy tu w mózgu — ta myśl okropna wpija się powoli jak rozpalone kleszcze, i rozsadza czoło i skronie! — Nienawidzę tego człowieka! — a ona!... kocha go, i chociażbym go zabił to po śmierci nawet kochać go będzie... A mnie! jestem dla niej ojcem... ha! to okropnie, świat dotąd podobnej nie wymyślił tortury. Tutaj sam przed sobą, z wytartą od bezwstydu twarzą, ja nie śmiem powiedzieć że ją... kocham... kocham!... Więc już do tego doszedłem; — mówię to i nie zapadają się na mnie ściany tego sklepienia, na rzecz tak ohydną, że w obec niej bledną widziadła najstraszniejszych zbrodni!... Kocham ją i zazdroszczę jej miłości innemu... Kocham namiętnie i bezczeszczę samem tem uczuciem... Ha! to słuszna kara! Pan Bóg jest sprawiedliwy, albo raczej dobrze przykuł swoję ofiarę. Młody, przystojny, wykształcony... wszystko miałem za sobą — świat cały stał dla mnie otworem... Chciało mi się żyć i używać — sprzedałem się... a dziś odbieram zapłatę. Tak! jestem nędzarzem... spadłem niżej od najnikczemniejszego żebraka... Ale jemu jej nie dam.. nigdy!... Trzydzieści pięć lat... jestem jeszcze młody... On zaledwie lat pięć młodszy odemnie... Mogłaby mnie była pokochać... O galernicy! jak ja wam zazdroszczę waszego łańcucha! Możecie go zerwać, sprawiedliwość lub łaska może wam wolność przywrócić — ja łańcuch mój muszę dźwigać aż do grobu... Co to jest! Amelija! Nie śpisz jeszcze o tej godzinie?

AMELIJA.

Nie kładłam się wcale; nie mogłam sobie zdać dotąd sprawy z tego, co się zemną dzieje; czułam tylko jakiś niepokój wewnętrzny, jakieś przeczucie nieszczęścia... Od dwu godzin, jak mara nocna krążę koło drzwi twoich, nie śmiejąc ich przestąpić. Nareszcie ze-

brałam się na odwagę. Mężu! wytłómacz mi, co się tu dzieje? dlaczego ty nie śpisz jeszcze? Sam w tym pokoju — to okno otwarte... zimno krew ścina! Co to jest? Co nam zagraża?

BOGUSZ.

Doprawdy Amelijo, jesteś dziecinna! Wytwarzasz sobie jakieś przywidzenia, po to aby męczyć mnie i siebie. Nie śpię bo zostało jeszcze kilka osób tutaj, które właśnie wyszły przed chwilą, — a kazałem otworzyć okna, żeby dym wypędzić z cygar. Czyś zadowolona? Czy uspokoisz się nareszcie?

AMELIJA.

Nie mężu, nie zwiedziesz kochającego serca Ja już od kilku miesięcy widzę zmianę w tobie. Śledziłem za tobą na balu, śledziłam twoję gorączkową wesołość, i słyszałam twój śmiech udany, który jękiem rozpaczy odbijał się w mojem sercu. Wolę najstraszniejszą rzeczywistość niż niepewność taką. Jestem mężną, zresztą tyle już cierpiałam, że wszystko dzisiaj znieść potrafię od ciebie — wszystko prócz niepewności.

BOGUSZ.

A przez Boga, Amelijo! tego za wiele! Czyż już nigdzie spokojności znaleść nie mogę; — nawet tu w moim pokoju nie jestem panem. Nie wolno mi nie spać, nie wolno mi okien otworzyć, być smutnym, albo wesołym. Czy raczysz mi nareszcie powiedzieć w czem zostawiasz mi swobodę? A toż to niewola, prawdziwa tyranija!

AMELIJA.

Tak nazywasz przywiązanie moje dla ciebie!

BOGUSZ.

Powiedziałem ci już, to nie przywiązanie — to pastwienie się nad ofiarą. Ja chcę swobody, powietrza! nie mogę wytrzymać w tych pętach!

AMELIJA.

Czyż ja ci przeszkadzam w czemkolwiek?

BOGUSZ.

Czy mi przeszkadzasz? Czy mi przeszkadzasz? W czemże byś mi przeszkadzać mogła? Jesteś wzorową żoną, kochasz mnie... o kochasz nad zasługę doprawdy — i tak że życie obrzydnąć może.

AMELIJA.

Litości Janie! jam temu nie winna! Ale jeśli chcesz, choć smutno mi dotąd dni płynęły przy tobie, na jeszcze większą skażę się samotność. Będziem się widywać, jak sam zechcesz, raz na trzy dni.. lub co tydzień... albo jeszcze rzadziej.

BOGUSZ.

Nie wymagam tego; — tylko ta dziwaczna troskliwość, ten dozór od kilku miesięcy męczy mnie i z nim żyć niepodobna.

AMELIJA.

A więc przysięgam ci że odtąd... Mężu!... dla Boga! co znaczy ta broń na twojem biurku? Na co te pistolety? Ty się masz strzelać?... z kim? o co?

BOGUSZ.

Do celu, o zakład!

AMELIJA.

O nie, teraz już mnie nie zwiedziesz! Ja muszę wiedzieć wszystko — nie wyjdę ztąd!

BOGUSZ.

Chcesz tego, zatem dobrze. Chciałem tobie i sobie przykrych scen oszczędzić... ale kiedy chcesz... Tak jest, istotnie strzelam się za godzinę. Czy już ci dosyć? czyś zadowolona? Czy nareszcie uwolnisz mnie od siebie?

AMELIJA.

O Boże, mój Boże! to kara!

BOGUSZ.

Tak! to kara za życie złamane! Przez sześć lat przykuty do ciebie, wlokłem się jak kula u nogi galernika, — gubiąc po drodze młodość, złudzenia... wszystko co w człowieku wyższe i lepsze, boś to wszystko kupiła—a ja sprzedałem się nikczemnie!... Nagle niewolnik poczuł w sobie duszę, kula żyje, chce się zerwać... niepodobna! łańcuch za silny... A jednak zerwać go trzeba, chociażby w ogniu przetopić!—lub rozciąć mieczem!

AMELIJA.

Janie! mężu mój!

BOGUSZ.

Tak! towar się buntuje; niewolnik chce swobody, — a nie mając

innego sposobu wyjścia, woli się dać zabić niż żyć w tej męczarni A teraz czy wyjdziesz-że ztąd nareszcie?

MAJOR.

(stał przez chwilę w głębi). Wyjdź pani, ja tu zostanę!

AMELIJA.

Majorze! ratuj go, ratuj!

MAJOR.

Bądź pani spokojną, i zostaw nas. Twoja obecność już tu nic nie pomoże.

AMELIJA.

Ależ ja nie mogę zostawić go tak!

MAJOR.

Pani! tak być musi! moja kolej nadeszła. Odejdź pani i zaufaj mi... Da Bóg, że poradzimy sobie.

(wyprowadza ociągającą się Ameliją na prawo i powraca).

SCENA V.

BOGUSZ — MAJOR.

BOGUSZ.

To przynajmniej wolę; sprawa z mężczyzną.

MAJOR.

Słuchaj mnie pan. Od sześciu miesięcy kochasz swoję pasierbicę Maryją. Wyzwałeś Zbrodzkiego jako szczęśliwego rywala na pojedynek, i chcesz go zabić — bo Maryja go kocha. Od godziny wiem o wszystkiem; wystarczyły na to objaśnienia Kazimierza, jej samej i Worszyłły. Czy ośmielasz się pan zaprzeczyć temu?

BOGUSZ.

Nie! przeciwnie przyznaję! Zadługo noszę się z tą palącą tajemnicą, aby odkrycie jej nie ulżyło mi chociażby nawet w tej chwili Cóż dalej?

MAJOR.

I ty myślisz, że ja na to pozwolę?

BOGUSZ.

A brawo! zjawiasz się majorze jak Deus ex machina;—przychodzisz rozwiązać — albo rozciąć węzeł. Słucham pana — ale proszę o pośpiech, bo za chwilę zacznie świtać!

MAJOR.

Dobrze! postaram się być zwięzłym. Pułkownik Leśniewski mój towarzysz broni, na łożu śmierci powierzył mi opiekę nad żoną swoją i córką. Należę do pokolenia, które rozumiało obowiązek, miało jeszcze honor i sumienie. Jak płaz nikczemny wkradłeś się do domowego ogniska nieboszczyka; — nie wiem, czyś go zniesławił, ale wiem żeś uczciwe gniazdo napełnił boleścią i rozpaczą, — zatruwając życie nazbyt może słabej, lecz przez to bardziej nieszczęśliwej jego wdowie. Teraz nie dosyć ci tego jeszcze, pragniesz unieszczęśliwić córkę, albo ją zbeszcześcić.... Za nikczemny jesteś na to, abyś widział cień nieboszczyka, który cię przeklina. Masz zacnego młodzieńca, którego Maryja kocha — chcesz go zabić. Ja ci jeszcze teraz staję na drodze; — nie wahaj się. Podeptałeś już to co najwyżej powinieneś szanować, — własną żonę,—przed starcem bezbronnym niema się co namyślać. Zamknij że i mnie usta, bo będę wołał na głos cały, żeś podły!

BOGUSZ.

Ust ci nie zamknę, Majorze — zrobię więcej. Wyraz któregoś użył, nazwę za którąbym innego zabił, od ciebie przyjmuję. Tak, jestem podły, przyznaję;—ale kto mnie tem uczynił, czem jestem?

MAJOR.

Fatalizm! okoliczności! świat! co, nieprąwdaż?—Zwykłe to tłomaczenie ludzi tobie podobnych. Idziecie w świat z najpiękniejszemi darami niebios,—z młodością, urodą, wykształceniem, często z talentami: ale to wszystko są tylko przymioty podnoszące cenę towaru, który się sam na sprzedaż wystawia. Handel! rodzice którzy macie córki bogate na wydaniu! handel, posażne wdowy! handel nawet bezwstydne żony bogatych lub wpływowych mężów! kto da więcej! człowiek, nazwisko i honor są na sprzedanie! Trzeba dojść, trzeba używać, bo to jedyne wasze godło. — Bez wiary, bez pojęcia obowiązku, z wrodzonem lenistwem do pracy, zmarnowawszy najpiękniejsze zasoby dane wam od natury, — ścieracie z siebie ostatnie znamię człowieka, zmieniając w błoto wszystko, co was dotknie, i nurzając je w nikczemnej kałuży. — Bóg, rodzina, kraj, sumienie, co was to wszystko obchodzi! wam trzeba nasycać zmysły, żądze poziomych uciech i rozkoszy. Naprzód dzielne plemię zdobywców! myśmy mieli

nasze pola walki, wy macie wasze salony; — myśmy mieli wielkie i wspaniałe cele, szliśmy po sławę i zwycięztwo, wy idziecie po majątek i pozycyją; — myśmy krew wylewali po drodze, wy kłamliwy komplement, giętkość karku, podłą komedyję uczuć do boju wystawiacie. My czciliśmy jak świętość nasze żony i córki, wy niesławę wnosicie w rodziny. A na czem kończycie?..

BOGUSZ.

Karą!.. Majorze, czy znasz coś straszniejszego jak położenie moje? Wszystko coś powiedział jest prawdą. Chciałem lekkiego życia, chciałem być bogatym bez pracy, i sprzedałem się!.. Kiedym poznał moją dzisiejszą żonę, jej pierwszy mąż dogorywał, wiedziałem o tem. Pokochała mnie, a ja myślałem, że będę się mógł do niej przywiązać; — wszak była jeszcze dość młodą, do dziś dnia pozostała piękną! Złudzenie!.. Sześć lat przeżyłęm obumarły na wszystko zniechęcony w krótce nadużyciem do tego, co daje majątek.—Nagle rozbudziło się serce... spotkałem to dziecko... kobietę, którą ja kocham, i która mnie pokochać by mogła gdybym był wolny. I ona jest tu przy mnie, od pół roku widuję ją codziennie, zostaję pod jednym zemną dachem... widzę ją, słyszę jej głos, poznaję jej chód, słyszę nawet jej, oddech gdy śpi w nocy! O Majorze! to można zmysły stracić!

MAJOR.

Rozumiem to, przypuszczam nawet uczucie szalone... To i cóż? jesteś mężczyzną—umiej cierpieć i ból przenieść. Stało się,—miejże przynajmniej uczciwość handlarza... Sprzedałeś się cały, sądząc że serce nie odezwie się nigdy, jest to przybytek, na który nie liczyłeś, więc albo go wyrzuć albo zmuś do posłuszeństwa właścicielowi całości.

BOGUSZ.

Milczałem też kryjąc sam przed sobą to niespodziewane uczucie. Wczoraj dowiedziałem się, że Maryja kocha Zbrodzkiego, cios był za silny, rozpacz zazdrości przemogła, —a w tej chwili czuję, że i teraz zrobiłbym toż samo!

MAJOR.

Tylko na to, aby go zabić musisz przejść wprzód po moim trupie.

BOGUSZ

Od kilku godzin jestem szalony, teraz nadeszła chwila rozwagi. Jeden z nas zginąć musi,—niech tym jednym będę ja. Nie myślę się bronić—niech mnie zabije.

MAJOR.

Nie mógłby zaślubić Maryi. Zabójca ojczyma nie zaślubia pasierbicy.

BOGUSZ.

A jednak tak być musi. Ja nie mógłbym patrzeć na ich szczęście, toby było nadto okropne! Majorze! nie stawaj na mojej drodze, nie przywódź mnie do rozpaczy, bo kto wie czy się nie cofnę jeszcze. Przynajmniej nikt z nas dwu mieć jej nie będzie!

MAJOR.

Zapomniałeś o mnie? chcesz się strzelać? zgoda! będziesz się strzelał ale zemną.—Podobne tobie złe ziarno należy tępić ogniem i mieczem, to zasługa być narzędziem w ręku Boga, w którego nie wierzycie; wyrazem sprawiedliwości, której nie uznajecie. — Byłem uczciwym człowiekiem, spełniałem moje obowiązki; mam prawo być żniwiarzem na tej niwie; dla której niosłem życie, i taki kąkol jakim ty jesteś wyrywać — aby nie zarażał dobrego ziarna. Masz czas jeszcze; chcesz Maryją oddać Zbrodzkiemu?

BOGUSZ.

Nigdy! raczej śmierć!

MAJOR.

Dobrze! zginiesz ale z mojej ręki.

BOGUSZ.

Strzelać się ze starcem?

MAJOR.

Czy sądzisz, że moje życie nie warte twojego?

BOGUSZ.

Ja chcę widzieć jego pierś naprzeciwko mojej, a jeśli w nią trafię...

MAJOR.

Przeczuwałem to, że go chcesz zabić, żeś tylko udawał rezygnacyją. Podły aż do końca! Będziesz się strzelał zemną nikczemniku czy nie?

BOGUSZ.

Nie!

MAJOR.

A więc znieważę cię najkrwawszą obelgą... (*wstrzymując się*) Nie! Słuchaj, wiem, że się macie strzelać tutaj w ogrodzie; pójdę na miejsce i czekać cię będę. Gdybyś nie przyszedł, zostanie mi ten środek ostatni... W każdym razie nie dam zniszczyć szczęścia córki, jakeś już zabił życie matki! (*wychodzi*).

SCENA VI.

BOGUSZ sam.

Złe ziarno tępić należy ogniem i mieczem, powiedział... Miał słuszność—na co przydało się komu moje życie? Żyłem rachunkiem i egoizmem—jak pasorzyt. Dziś odezwało się serce po to tylko, abym stanął na zawadzie innym. Unieszczęśliwiłem moję żonę, a dziś przeszkadzam innym dwojgu ludziom do szczęścia. Czy mogę coś zmienić w mojem przeznaczeniu? wziąć się do pracy? zmienić sposób życia? Zapózno!.. a zresztą po co?.. czyż mi to wróci utracony spokój! Gdybym zginął w tym pojedynku, czy ktokolwiek poczułby tę stratę, czy płakałby po mnie... Prawda! Amelija!—a czyż ona i tak nie płacze? czyż mogę jej łzy powstrzymać? mogę jej dać miłość, której nie czuję? Nic!.. nic!.. nic nie zostawiam za sobą!—A on... pełen nadziei, szczęście się do niego uśmiecha. Wydrzeć mu je byłoby ostatnią z mej strony nikczemnością! — Po co mam myśleć dłużej... Cierpię, niepotrzebny jestem nikomu, zawadzam innym. Własną ręką usunę zawadę... Przeklęte niech będzie życie moje! życie cierpień i zawodów! Stokroć szczęśliwsza dola nędzarza, który kocha, i którego wzajemnie kochają.—Czas skończyć! złe ziarno samo się wypleni, a i po śmierci rzucą je pod wałem cmentarnym, aby odstręczało strasznym przykładem. (*Ogląda pistolety*) Nabite! no śmiało do dzieła Zabijając siebie, spełniam jedyny czyn uczciwy w życiu, bo jej zawadzać nie będę, a sobie skracam męczarnie.—W piersi, czy w głowę? Serce odezwało się zapóźno, nie ono winne; głowę ukarać potrzeba! (*przykłada pistolet do czoła*; *w tej chwili wchodzi z lewej Władzio—za nim po chwili Maryja*).

SCENA VII.

BOGUSZ—WŁADZIO—*potem* MARYJA.

WŁADZIO.

Tatusiu! co robisz tatusiu! rzuć to, możesz się skaleczyć.

BOGUSZ.

(*chwilkę stoi wahając się z pistoletem w ręku, potem rzuca się do Władzia*). Mój syn! Boże wielki! ja zapomniałem, że mam syna... Dziecko moje: przebacz twojemu ojcu, który był tak nieszczęśliwy, że nawet o tobie zapomniał! Mam dla kogo żyć, i mogę jeszcze kochać! Wszak ty mnie kochasz, mój chłopcze?

WŁADZIO.

Kocham tatusiu ciebie, mamę i Manię.

BOGUSZ.

Manię?

WŁADZIO.

Tak, siostrzyczkę Manię; to ona mnie tutaj przyprowadziła, żebym cię o coś razem z nią prosił.

BOGUSZ.

O co?.. o co?.. mów mój synku!

MARYJA.

Ja powiem za niego, mój ojcze! Moja matka płacze, martwi się przez ciebie — ojcze! przyszliśmy cię prosić z braciszkiem, abyś jej łzy otarł, abyś jej powrócił dawny uśmiech na twarzy—który szczęście nasze stanowił. Nie mogłam zrozumieć o co tu idzie, gdyż mama twierdzi, że to pan Kazimierz stał się przyczyną jakiegoś zajścia. Jeśli tak jest ojcze, jam gotowa wyrzec się nawet jego... tylko niech moja matka nie płacze! Może moja obecność w tym domu zawadza ci ojcze;—w takim razie ustąpię, chętnie zrzeknę się wszystkiego, byle tylko moja matka była szczęśliwą! Ojcze czy wysłuchasz prośby dzieci, które cię za matką na kolanach błagają!

BOGUSZ.

O nie! nie tak! ja to raczej powinienem przebłagać waszę matkę. Idź Maryjo! przyprowadź ją tutaj. Szczęścia jej dać nie mogę, ale przynajmniej jej spokój powrócę. Idź, idź (*z wysileniem zbierając się na odwagę*) moja... córko!

MARYJA.

Dziękuję ci, mój ojcze!

BOGUSZ.

(*pisze kartkę, później dzwoni na lokaja*). Ten bilecik oddaj panu Majorowi, który z innemi panami czeka na mnie w strzelnicy; — proś, aby wszyscy tu przyszli.

JÓZEF.

Dobrze, jaśnie panie! (*wychodzi*).

BOGUSZ.

Synku mój! kiedy dorośniesz, pamiętaj sobie ten dzień na całe życie. Pamiętaj, że trzeba się uczyć—aby być mądrym, i kochać—aby być szczęśliwym.

WŁADZIO.

Ja też ciebie kocham, tato!

BOGUSZ.

O i ja ciebie, dziecko moje! boś ty dla mnie światem dziś całym!

SCENA VIII.

BOGUSZ — WŁADZIO—MAJOR—ZBRODZKI—FEINER—WORSZYŁŁO—RUCKI *potem* MARYJA i AMELIJA.

MAJOR.

Więc to prawda, co przeczytałem? Panie Bogusz, daruj mi to, com ci przed chwilą powiedział. Za moje uniesienie przepraszam cię z głębi duszy!

BOGUSZ.

Spełniłeś tylko obowiązek, Majorze, a to dziecko mego mnie nauczyło. Panie Kazimierzu! zapomnij o naszem starciu, a ja w dowód życzliwości dla ciebie, popieram twą prośbę o rękę Maryi do jej matki. Czy zgadzasz się, Amelijo, zagodzić w ten sposób nasze nieporozumienie? Potem istotnie pojedziemy na wieś, oddać się nie sobie ale naszemu dziecku, aby wyrosło na człowieka z głową i sercem.

ZBRODZKI (*na stronie*).

Panie Bogusz! jesteś zacnym człowiekiem, dziękuję ci! Domyślam się żeś nieszczęśliwy i żałuję cię.

BOGUSZ.

Nie żałuj mnie! mam co kochać i po co żyć... a obowiązek taki osładza nawet smutną zkądinąd dolę.

MAJOR.

No, a pani, wszak zgodzisz się na takiego zięcia? Ręczę za niego że dzielny chłopak, że kocha z głębi duszy, i że ta panna także nim nie gardzi.

MARYJA.

Panie Majorze!

MAJOR (*na stronie*).

Zapieraj się, figlarko! kiedyś męża zdobyła prawie przebojem.

AMELIJA.

Panie Kazimierzu, wiem że dziecko moje oddaję w poczciwe ręce i że ją kochasz a ona ciebie. Będziecie szczęśliwi, bo przywiązanie wzajemne jedyną podstawą szczęścia w małżeństwie.

RUCKI (*na stronie*).

Zapomniała o pieniądzach!—No, no, niema co mówić, osiedliśmy na koszu.

FEINER.

Ha! cóż chcesz! oddzielono dobre ziarno od kąkolu.

FAJTASZKO (*za sceną*).

Wody! śniegu! co chcecie przez litość, byle prędzej!

WORSZYŁŁO.

Fajtaszko! co mu się stało?...

SCENA IX.

Ciż i Fajtaszko.

FAJTASZKO.

Straszny wypadek! Zdrzemnąłem się w strzelnicy, nos odmroziłem do szczętu! Śniegu do tarcia! Śniegu! Cóż będę wart bez nosa!

RUCKI.

A cóż on wart z nosem?

FEINER.

Hrabio, powinszujże państwu młodym. Pan Zbrodzki otrzymał rękę panny Maryi.

FAJTASZKO.

Co, i to jeszcze! noc niespana! pojedynek! nos! panna! A to za wiele na raz jeden!

RUCKI.

No! jeśli my złe ziarno—to on już chyba plewa!

KONIEC.